

ZBIORY OSRODKA KATYA

ROCZNIK PODKOWIAŃSKI

(numer specjalny)



Wydawca: Parafialny Komitet
Pomocy Bliźniemu
w Podkowie Leśnej

**PIELGRZYMKA
DO KATYNIA
I OSTREJ BRAMY**

(wspomnienia uczestników)

PODKOWA LEŚNA 1989

PAMIĘĆ I PRZEBACZENIE

Wyjazd do Katynia wiosną 1989 r. był niezwykle przeżyciem, zerknięciem z czymś, co wciąż stanowiło niewiadomą. Docierające do kraju wiadomości o współczesnym Katyniu były bardzo ogólnikowe, często sprzeczne. Nie orientowaliśmy się nawet, jaką wersję historii utrwalono na pomniku postawionym w Lesie Katyńskim - prawdziwą czy tradycyjną, przypisującą tę zbrodnię Niemcom?

Zdawaliśmy sobie sprawę, że ciąży na nas szczególna odpowiedzialność, bo Polacy czekają na nasze świadectwo. Chodziło nie tylko o dziennikarskie informacje, jak wygląda katyńskie cmentarzysko dzisiaj, w 49 lat po dokonaniu zbrodni. Równie ważne wydało się nam utrwalenie przemysłów i przeżyć uczestników pielgrzymki, bo tylko tym sposobem można zarejestrować stan świadomości współczesnych Polaków - synów i wnuków oficerów pomordowanych pod Smoleńskiem.

Długo dyskutowaliśmy, co zrobić, aby nasze przeżycia stały się własnością szerszego ogółu. Wiedzieliśmy, oczywiście, że trzeba zabrać wiele aparatów fotograficznych i kamerę video, aby sporządzić rzetelną dokumentację. Zadaniem uczestniczących w pielgrzymce dziennikarzy było przekazanie możliwie najdokładniejszych relacji. To wszystko było jasne, ale czuliśmy, że należy jakoś dotrzeć do skrytych przemysłów, do prywatnych wzruszeń pasażerów dwu autokarów, które w kwietniu 1989 r. miały dotrzeć do Katynia, a potem do Wilna i Kowna. Jak reagują na zbrodnię dokonaną przed pół wiekiem? Co myślą o Rosjanach? Czym są dziś dla nich Kresy?

Zdecydowaliśmy się w końcu ogłosić konkurs na zapis wrażeń i obserwacji ze szlaku Katyń-Wilno-Kowno. Pomysł wydawał się nam ryzykowny, bo wcale nie było pewne czy uczestnicy pielgrzymki zechcą trudzić się pisaniem, a jeśli nawet zechcą - czy zdołają zdobyć się na szczerość?

Na szczęście obawy okazały się nieuzasadnione. Co czwarty uczestnik owej pielgrzymki na wschód przekażał swoje zapiski Jury. I nie były to bynajmniej prace pisane byle zbyć, na odczepnego. Tym co najbardziej rzuca się w oczy, jest właśnie szczerość, odstonięcie bardzo prywatnych odczuć, o których na ogół niechętnie mówi się publicznie. Można się w nich doczytać zarówno obrzydzenia i gniewu zwracającego się przeciwko sprawcom zbrodni, jak i ogromnej wrażliwości moralnej wyrażającej się we współczuciu dla Rosjan, pierwszych ofiar nieludzkiego systemu.

Dla niejednego uczestnika pielgrzymki pobyt na miejscu katyńskiej tragedii stał się impulsem do przemyśleń nad trudnym obowiązkiem chrześcijańskiego przebaczenia. Kilkunastoletnia uczennica, Barbara Maros tak to ujęła w swych zapiskach z pielgrzymki: "Nieprawdopodobieństwem dla mnie jest fakt, że my z Podkowy Leśnej, my, którzy wciąż walczymy o wolną Polskę, my z tradycjami Mszy za Ojczyznę, mamy teraz to wielkie szczęście przeżywać ofiarę Mszy św. właśnie tu, na tej nieludzkiej ziemi rosyjskiej, gdzie miały miejsce tak tragiczne wydarzenia, gdzie tak perfidnie, w bestialski sposób wyniszczono kwiat polskiej inteligencji. I właśnie my musimy dzisiaj modlić się o przebaczenie dla tych, którzy dopuścili się tego czynu. Czy będziemy mieli tyle siły, by nam się to udało? Czy na tej skrwawionej, obcej ziemi stać nas będzie na gest przebaczenia?"

Te same odruchy wrażliwości moralnej znaleźć można i w innych pracach konkursowych. Wyróżniony I nagrodą "Dziennik" Beaty Wróblewskiej jest niezwykle ciekawym dokumentem, pokazującym jak trudno zdobyć się na uczciwe zrozumienie niedoli naszych sąsiadów - Rosjan, Białorusinów, Litwinów. Trzeba wyzbyć się

nienawiści, uprzedzeń i pychy. Więcej nawet, nieraz trzeba po prostu zamilknąć, gdy staje się oko w oko z konfliktem dwu patriotyzmów - litewskiego i polskiego.

Zdecydowaliśmy się wydać drukiem kilka nagrodzonych prac, ponieważ są dokumentem ukazującym sposób myślenia Polaków pół wieku po katyńskiej zbrodni. Dowodzą one, że wierna, patriotyczna pamięć o pomordowanych na nieludzkiej ziemi, o tych, którzy pozostali na Kresach, wcale nie musi przekształcać się w nienawiść do naszych sąsiadów.

Pielgrzymka do Katynia i Ostrej Bramy okazała się lekcją chrześcijańskiego braterstwa. Nauczyła nas lepiej rozumieć tych, którzy dłużej od nas żyją w niewoli, w systemie zbudowanym na fundamencie pogardy, ateizmu i nienawiści.

JACEK MAZIARSKI

P I E L G R Z Y M K A

Katyń - słowo: tabu? legenda? symbol?

Tabu - gdyż przez dziesiątki lat nieobecne było w środkach masowego przekazu, a tylko przekazywane z ust do ust.

Legenda - gdyż zdążyło już w młodych pokoleniach obrósnąć szerokimi treściami. Symbol - ofiary złożonej przez tysiące jeńców wojennych, w nieludzki sposób pomordowanych. Właściwie symbol wszystkich umęczonych i pomordowanych - a było ich miliony, dziesiątki milionów - którzy zginęli z rąk oprawców w imię obłędnej ideologii komunistycznej.

Czyż to nie dziwne, że po Nokymberdze, procesie zbrodni przeciwko ludzkości popełnionych przez faszyzm, nie wytoczono dotąd procesu za zbrodnie przeciw ludzkości popełnione przez komunizm, określane stalinizmem?

x x x x x x x x x x x

Pielgrzymka do Katynia - czyż to nie szalony pomysł, nawet w roku 1988? Czy to w ogóle możliwe? A jednak...

Z inicjatywy p. Wiesława Matejczuka, prezesa Parafialnego Komitetu Pomocy Bliźniemu w Podkowie Leśnej wysłano pismo do dwóch biur turystycznych "Kalinka" i "Orbis". Oto tekst:

"Zwracamy się z prośbą o zorganizowanie w miesiącu kwietniu 1989 roku, dla grupy 60-100 osób, wycieczki-pielgrzymki do ZSRR, do Katynia, miejsca spoczynku zamordowanych oficerów polskich. Pragnęlibyśmy zatrzymać się również w Wilnie. Prosimy o wcześniejsze powiadomienie nas o kosztach i ewentualnych formalnościach, które należy dopełnić.

Proboszcz Parafii św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej: ks. Leon Kantorski
Parafialny Komitet Pomocy Bliźniemu: Wiesław Matejczuk

Data: 5 września 1988

"Kalinka" nie dała żadnej odpowiedzi.

Natomiast nadeszła odpowiedź w drugiej połowie lutego 1989 z "Orbisu". Telegram skierowany do Parafii polecał zadzwonić pod numer... Gdy zadzwoniłem, poinformowano mnie, że Parafia otrzymała miejsca na wycieczkę do Katynia-Wilna: dwa autokary, 78 osób, 2 noclegi w Smoleńsku, 2 noclegi w Wilnie. Wszystko już ustalone. Żadnych zmian wprowadzać nie można.

Ta wiadomość była elektryzująca dla nas, a dla pracowników Orbisu i Syreny stanowiła wielkie zaskoczenie. Stawiano sobie pytanie: Dlaczego Podkowa dostała tę wycieczkę, kto dał zezwolenie, kto wyraził zgodę, od kogo to zależało? Tak więc w niedzielę 5 marca mogliśmy byli podać z ambony komunikat o następującej treści:

Pielgrzymka autokarami do Katynia-Wilna odbędzie się od 6-10 kwietnia. Koszt ok. 100 tys. zł. Zgłoszenia przyjmuje się dziś i jutro w Czytelnii Jana Pawła II. Wpłata 30 tys. zł przy zgłoszeniu.

x . x . x . x . x . x . x . x . x . x

Pozostał tylko miesiąc. Mało czasu, żeby załatwić wszystkie formalności. Wielu nie posiada jeszcze paszportów w domu. W dniu 3 kwietnia ok. godz. 15⁰⁰

niektórzy dowiadują się w Biurze Paszportowym w Pruszkowie, że 12 osób nie otrzyma paszportów, bo... uszkodzony komputer.

We wtorek od rana interweniuje telefonicznie w Biurze turystycznym w Pruszkowie. Oświadczam: "Jeżeli tych 12 osób nie otrzyma paszportów, odwołujemy całą pielgrzymkę".

- "Niech ksiądz mnie nie szantażuje" - odpowiada Biuro.

- "To żaden szantaż. Tylko Panią informuję, że wczoraj taką decyzję podjął Parafialny Komitet Pomocy Bliźniemu."

We wtorek do godz. 15⁰⁰ wszyscy otrzymali paszporty, oprócz p. Ani Maziarskiej, której papiery nie przyszły z Gdańska, poprzedniego miejsca zamieszkania.

W środę nowa interwencja. Udajemy się do p. Pułkownika - szefa Biura Paszportowego. Około godziny 15⁰⁰ p. Ania odbiera swój paszport i od urzędniczki słyszy taką uwagę: "paszport zostaje wydany na polecenie Szefa Biura na skutek osobistej interwencji ks. Leona Kantorskiego."

A więc jedziemy wszyscy.

XXXXXXXXXXXX

Czwartek, 6 kwietnia. Jest jeszcze ciemno, gdy zajeżdżamy do Terespoła. Stajemy na granicy polskiej. Kontrola - bez problemu i względnie szybka. O świcie jesteśmy trochę dalej - w Brześciu. Jest chłodny ranek, odprawa celna trwa dłużej, ale także bez problemu. Wynik nowych czasów w ZSRR, czy też sprawiają to układy naszego pilota?

Od Brześcia do Smoleńska długa, długa droga. I step - po obu stronach drogi. Domy z rzadka - gdzieś daleko od drogi. Jakieś kepy drzew, niby małe laski. Co pewien czas przy samej drodze tylko tablica, informująca, że tu kołochoz taki a taki.

No i GAI - drewniane, murowane budki - to posterunki milicji, czy straży drogowej, kontrolującej przejeżdżające pojazdy... Większość GAI już opuszczonych, zdewastowanych czy przerwanych w budowie. Wszystko to smutne... bardzo. Grupkę dzieci bawiących się śnieżkami /w Smoleńsku spadł świeży śnieg/ po raz pierwszy zobaczyłem na drodze tuż przed Smoleńskiem na przystanku autobusowym, a właściwie na dachu przystanku.

XXXXXXXXXXXX

W piątek, o świcie 7 kwietnia jedziemy drogą na Witebsk. 11 km za Smoleńsk. Mijamy stację Gniezdowo. Nieco dalej po prawej stronie szosy duży parking. Nasze dwa autokary tam się zatrzymują. Jest wczesny ranek. Wysiadamy. Podbiega do mnie Mateusz Dzieduszycki, student Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi i przejęty mówi: "Proszę księdza, trzeba zarządzić nową do św. Antoniego. Tu na parkingu zepsuła mi się kamera." Miał ze sobą pożyczoną, najnowocześniejszą video-kamerę /ostatniej generacji jak ją nazywał/ z zapisem cyfrowym. Potem w Warszawie okazało się, że nastąpiło uszkodzenie mechaniczne, jakieś zwarcie. Kamera odmówiła posłuszeństwa w chwili wjazdu na parking. Potem psuły się aparaty fotograficzne: uszkodzenia mechaniczne, zerwane taśmy, pozrywane perforacje. Osiem czy dziewięć aparatów stało się bezużytecznych. Nasz pilot rosyjski uprzedzał nas, że w Katyniu zdjęcia się "nie udają". Ale dopiero po powrocie do Warszawy, gdy zobaczyliśmy na własne oczy żniwo zniszczenia, nawet w aparacie zawodowego fotografa, dotarło do naszej świadomości, że działały tam i pewnie działają jakieś niezbrane siły. RGB, pole elektromagnetyczne, a może siły szatańskie? Dla niektórych były to namacalne dowody działania szatana!

Wilno. Z miejsca spotykamy się z bolesnym problemem stosunków Litwini-Polacy. Jedni i drudzy chcą zgody, porozumienia, pokoju. Tymczasem jedni i drudzy pogłębiają rozdarcie wzajemne. Coraz większa dzieli ich przepaść, może nienawiść. Ten bolesny problem przenosi się nawet do życia w kościele.

Nie dano mi możliwości odprawienia Mszy św. ani w katedrze, ani w kościele przy Ostrej Bramie.

O miłości wzajemnej, o potrzebie i konieczności wzajemnego zrozumienia i zgody mogłem być mówić tylko przy ołtarzu w Ostrej Bramie, małej kaplicy, która pomieścić może 200 osób, maximum 300 - już ze stojącymi na schodach.

Opowiadał mi zakrystianin z Ostrej Bramy:

"Przed kilkunastu laty zmarł starszy pan, który przychodząc do Ostrej Bramy od samego dołu po stopniach wchodził na kolanach przed obraz Matki Bożej.

Zagadnięty o to, wyjaśnił: Byłem adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego. Gdy Marszałek przyjeżdżał do Wilna po stopniach na kolanach wchodził aż do samego ołtarza Matki Bożej w Ostrej Bramie. Mógł Marszałek - Bogu i ja".

Na ścianie zaś naprzeciw ołtarza między dwoma oknami jest mała srebrna tabliczka z podziękowaniem za wolność odzyskaną - bez podpisu. To votum Marszałka.

x x x x x x x x x x x

Katyń - Cmentarz na Rossie - Ostra Brama. Kilka słów. Ileż wrażeń i przeżyć. Ile treści.

Nasza pielgrzymka do Katynia, do Wilna wyzwoliła nas od wszystkich kłopotów materialnych i trosk codziennych. Nie dbaliśmy o handel. Ta pielgrzymka była wędrowaniem po ziemi nasączonej krwią Polaków, ludzi. To pielgrzymka ku wieczności.

ks.LEON KANTORSKI

K A T Y Ń

Mglisty, nieco pochmurny poranek 7 kwietnia 1989 roku. Jest godzina 9.30 czasu moskiewskiego. Na parking hotelu "Rosja" /największego i chyba najbardziej luksusowego hotelu w Smoleńsku/ czekają nasze autokary. Za kilkanaście minut przewiozą nas - pielgrzymów z Podkowy Leśnej - do Katynia. To tak niedaleko stąd: tylko 16 kilometrów. Jesteśmy prawie u celu, ale właśnie teraz na naszych twarzach maluje się największe skupienie: cicha, nieartykułowana do końca powaga. Wszyscy wiemy, po co przejechaliśmy wiele setek kilometrów z Polski...

Wsiadamy, a wraz z nami wchodzą do autokarów dwaj sowieccy piloci: Igor i Borys. Będą nam towarzyszyć podczas naszego pobytu w Katyniu i Smoleńsku z ramienia Inturistu. Naszemu autokarowi przypadł w udziale Igor: typ młodego, rosyjskiego inteligenta, szczupły chłopak z okularami w drucianej oprawie... W czasie jazdy, z mikrofonem w rękę, przekazuje nam dane na temat wspaniałości osiągnięć miasta Smoleńska po II wojnie światowej. Jego wywody przyjmujemy w milczeniu, co wkrótce sam zauważa i milknie...

Wyjeżdżamy na szosę Smoleńsk-Witebsk. Autokar zatrzymuje się przed przejazdem kolejowym, a nasz polski pilot, p.Alojzy objaśnia, że z prawej strony mijamy słynną stacyjkę kolejową Gniezdowo. To właśnie tutaj, 49 lat temu, podjeżdżały więzienne karetki NKWD, tzw. "czornyje worony" po kolejnej partii polskich oficerów, które - wprost z wagonów - wywożono do odległego stąd o 3 km lasu katyńskiego. Na stacji Gniezdowo rozpoczynał się ostatni etap ich tragedii...

Patrzymy w milczeniu, podczas gdy autokar stoi przez kilka chwil, wykonując przepisowe "Stop" przed przejazdem kolejowym. W słabym jeszcze, porannym słońcu, wzierającym teraz zza chmur lśni się torowisko osławionej bocznicy. Przez te wszystkie lata nie zmieniło się nic - jestem tego pewien, zestawiając w pamięci archiwalne zdjęcie stacji /znane mi z literatury/ z obecnym wyglądem.

Próbuję sobie wyobrazić tragiczną scenę: podjeżdżające tyłem do wagonów towarowych "czornyje worony" /z tyłu były umieszczone drzwi tych "karetek śmierci"/, odliczanie kolejnych trzydziestu ofiar i wyjazd w nieznanne...

Ale na rozmyślania brak czasu. Oto bowiem po lewej stronie drogi przed nami zaczyna się las katyński. Niezwykły widok: las ogrodzony jest szczelnym parkanem z desek o wysokości ok. 2,5 m. Wyraźnie widoczne są równie szczelne bramy, do których prowadzą utwardzone nawierzchnie wąskich dróg. Znow, zupełnie jak przed laty... Jedyną "różnicą" jest ta, że właścicielem obiektu jest KGB, a nie NKWD - po prostu zmiana szyldu, a może "warty"? Oficjalnie natomiast - jak czytam na tabliczce zakazującej wstępu do ogrodzonego lasu - jest to "teren państwowy".

Droga biegnie teraz wzdłuż parkanu: 200 m, 300 m, już pół kilometra... Nagle widać trzydziesto-, a może i pięćdziesięciometrową lukę w ogrodzeniu. Jesteśmy prawie na miejscu: autokary zatrzymują się po przeciwnej stronie na maleńkim parkingu. Wsiadamy. Od grobów dzieli nas dwudziestometrowa alejka, której asfaltowy początek czerni się wśród drzew po drugiej stronie drogi. Ten odcinek przejdziemy piechotą.

Z ładowni autokaru wyciągamy wieńce. Jeden z nich, od Podkowy Leśnej, jest już na parkingu. Mocuje się teraz z naszym, PSL-owskim. To duży i ciężki wieńiec. Pomagają mi dwaj pielgrzymi i za chwilę rysunek białego, ukorowanego orła, trzymającego ludową koniczynkę, ukazuje się w słońcu tej "nie-

ludzkiej ziemi". Ufundowany przez polskich chłopów i Prezydium TKW PSL oraz Redakcję "Gazety Ludowej", szczęśliwie dotarł na miejsce. Przypinam szarfę, która podróżowała oddzielnie. Napis brzmi: "Pomordowanym Obrońcom Ojczyzny - Polskie Stronnictwo Ludowe".

Widok wieńca jest zaskoczeniem dla wielu. Tylko dwie lub trzy osoby widziały go przed wyjazdem, podczas załadunku do autokaru. Jego pojawienie wywołuje nieomal sensację, a nasi fotoreporterzy proszą o 3 minuty na utrwalenie go na kliszach. Czynnimi zadość tej prośbie. Dwie koleżanki: Helenka i Joasia dzielnie mi asystują, trzymając rozwiniętą szarfę. Będą mi towarzyszyły do samych grobów.

Formujemy procesję, którą otwiera ks. Leon Kantorski wraz z ks. Zbigniewem Łuczakiem i Prezesem Parafialnego Komitetu Pomocy Bliźniemu w Podkowie Leśnej, p. Wiesławem Matejczukiem. Za nimi niosący wieńce, a potem karny, niemalże "czwórkowy" kondukt pielgrzymów.

Wchodzimy w alejkę. Mam uczucie, że przekraczam jakąś niewidzialną granicę. I rzeczywiście: w miejscu rozbranego odcinka parkanu stała - jeszcze kilka miesięcy temu - jedna z bram, przez którą - być może - w kwietniu 1940 roku przejeżdżały "czornyje worony" z polskimi oficerami, wioząc ich na miejsce stracenia. W ciszy przekraczamy te tragiczną granicę...

Rozglądam się dokoła: po obu stronach alejki, w odległości zaledwie kilku metrów, ciągnie się nowy, żelazny tym razem parkan. Widoczny znak, że "pierestrojka" zdołała "wyrąbać" jedynie kilkunastometrową ścieżkę w monolicie stanu posiadania sowieckich sił bezpieczeństwa. Za parkanem ani śladu żywej duszy i może tylko jakieś oczy... Nie wywiera to na nas żadnego wrażenia.

W tej ciszy i powadze jedynie fotoreporterzy uwijają się jak w ukropie. Prędko jednak wykruszają się ich szeregi, a włączający się na powrót do konduktu mają nietęgę miny. Nic dziwnego: kolejno odmawiają posłuszeństwa aparaty fotograficzne i kamery. Przypominają mi się słowa naszego pilota i kierowcy, którzy podczas wczorajszej podróży do Smoleńska opowiadali nam o dziwnym fatum, ciężącym nad tym miejscem. Mówili, że niewielu szczęśliwcom udawało się utrwalić na kliszy czy taśmie filmowej łasek katyński. Traktowaliśmy te opowieści trochę "z przymrużeniem oka", wierząc tak w jakość, jak i w ilość naszego sprzętu. Tymczasem, w ciągu niespełna 5 minut około połowy aparatów fotograficznych i kamer okazało się być niezdatnymi do użytku /m. in. została uszkodzona doskonała kamera video/. Oba moje aparaty, które oddałem znajomemu na czas niesienia wieńca, także nie uniknęły awarii. I chociaż jeden z nich udało mi się później prowizorycznie naprawić, drugi wymagał specjalistycznej reperacji. Obok dosłownego "rozsypania się" części, nagminną przyczyną awarii były zerwane bądź poszarpane filmy. Dzisiaj myślę, że tylko dzięki dużej liczbie sprzętu wywieźliśmy sporo fotograficznej dokumentacji.

Tymczasem dochodzimy do celu: po prawej stronie z daleka widoczny jest kilkumetrowej wysokości krzyż - dar Prymasa Polski ks. kardynała Józefa Glempa. Góruje on nad czterema kwaterami, rozmieszczonymi symetrycznie po dwie z każdej strony. Kwatera grobowa to prostokąt o wymiarach ok. 4x8 m, otoczony niskim murkiem o wysokości ok. 50 cm. Żadnego napisu, żadnej tabliczki... Między ostatnimi dwoma prostokątami kwater niewielki grobowiec /jak się domyślamy/ z czarnego, szlifowanego kamienia o wymiarach 1x2 m. Również i tu żadnych znaków identyfikacyjnych...

Za kompleksem grobów dwa murki, połączone kratą. Po lewej stronie napis w języku rosyjskim, po prawej - polskim. Dowiadujemy się z nich, że polscy oficerowie zostali rozstrzelani w tym miejscu przez hitlerowskich faszystów w 1941 roku. Igor tłumaczy, że napis jest stary, że będzie zmieniony, po czym "ulatnia się" do autokaru. Zostaje Borys. Widać, że jest

wstrząśnięty: nigdy nie uczył się prawdziwej historii stosunków polsko-sowieckich i teraz próbuje nadrobić rzetelnie swoje zaległości, w czym - jak słyszę - skutecznie pomagają mu nasi pielgrzymi.

Wchodzi z wieńcem za wspomniane murki, dochodząc do krzyża. Ten krzyż stanowi centrum, na którym koncentruje się myśl. Centrum, ale i symbol ostatniej drogi tych, którzy za wierność Bogu i Ojczyźnie stracili tutaj życie. Właśnie pod krzyżem składam wieńiec... Szarfy same układają się, pomimo wiatru. Do głowy cisną się refleksje...

Ta ziemia, nigdy nie uprawiona ręką polskiego chłopca, jest mi przecież tak bardzo bliska. Jest ona bliska sercom tych, którzy w pocie czoła nie tylko żywią, ale i bronią. Wielu chłopskich synów przeszło przez sowieckie obozy w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Wielu z nich tu właśnie spoczywa... Ta ziemia, chociaż tak "nie ludzka", jest częścią polskiej ziemi...

Chwile refleksji przy krzyżu psuje widok twardej rzeczywistości: dwa metry dalej zaczyna się parkan, otaczający szczelnie tę enklawę pamięci... Za nim nieprzeniknione nieznanne. Nie wiadomo wciąż: przyjazne, obojętne czy wrogie?

Przechodzimy do wspomnianej wcześniej czarnej płyty niewielkiego grobowca, która - wobec braku ołtarza - posłuży księżom za stół ofiarny Mszy Świętej. Ks. Leon i ks. Zbigniew, w biało-czerwonym kolorze szat liturgicznych, rozpoczynają nabożeństwo. To jedna z najbardziej wstrząsających, a zarazem wzruszających scenerii Mszy Świętej w moim życiu. Patrząc dookoła siebie, na twarze pielgrzymów, otaczające ołtarz: chyba przeżywają i czują podobnie.

Po wspaniałej, patriotycznej homilii ks. Leona Kantorskiego rozpoczyna się Modlitwa Wiernych. Wszyscy bierzemy w niej udział, modląc się za dusze śp. polskich oficerów, rozstrzelanych w bestialski sposób w Katyniu i innych, nieujawnionych do dzisiaj, miejscach ZSRR. Modlimy się za dusze znanych nam z nazwisk i tych nieznanymi, a także za dusze wszystkich, najczęściej bezimiennych ofiar Workuty, Magadanu, Archangielska i pozostałych łagrów śmierci.

Podczas ofiarowania zostają złożone na ołtarzu dwie tabliczki, przywieszzone z Polski przez dzieci zamordowanych tu oficerów. Są wśród nas, w naszej pielgrzymce, trzy takie osoby. "Dzieci" mają dzisiaj po kilkadziesiąt lat i nie pamiętają swoich ojców, lecz dla ojców pozostaną zawsze dziećmi... Tabliczki zostają poświęcone i umieszczone na jednej z grobowych kwater.

Wszyscy przystępujemy do Komunii Świętej, a po kilkunastu minutach pieśń "Boże coś Polskę" kończy Najświętszą Ofiarę. Pieśń odbija się głośnym echem wśród drzew. Polska pieśń zwycięstwa mimo wszystko, mimo tragedii i przelanej krwi i rozpacz tysięcy... Powraca w triumfie...

Przez chwilę zastanawiam się, czy słychać ją nad Dnieprem, po drugiej stronie lasu, gdzie do chwili obecnej stoi osławiona willa NKWD - przed 49 laty "hotel" oprawców - ale tam wstępu nie mamy.

Przemawia teraz p. Józef Bocheński. Jego przemowa łączy w sobie pierwiastki historycznej prelekcji i osobistych wspomnień o ojcu. Jest bardzo wzruszony, gdy dziękuje Bogu za możliwość odwiedzenia grobu ojca, a nam za to, że jesteśmy z nim w tej chwili.

Po chwili ciszy, jaka zapanowała, rozglądamy się za miejscem do pobrania ziemi. Każdy zaopatrzył się w maleńki, foliowy woreczek, by "trochę Kartyńia" zabrać do Ojczyzny. Biorę i ja, a kątem oka widzę, jak do osobnego pojemnika wędrują dwa, kilkunastocentymetrowe drzewka: sosna i świerk. Zostaną one posadzone w Podkowie Leśnej na terenie kościelnym.

Na zakończenie odmawiamy "Anioł Pański" i powoli zmierzamy w kierunku autokarów. Jeszcze tylko ostatni rzut oka... Jeszcze jedno zdjęcie, robione przez tych, którym aparaty nie odmówiły posłuszeństwa... Zauważam, że w parkanie, otaczającym groby, jest brama, za którą alejka przechodzi w utwardzoną, wąską drogę, która po kilku metrach znika za zakrętem i drzewami. Obok niej dróżka, nosząca ślady częstego uczęszczania. Przez kogo? Dokąd? Te pytania pozostaną bez odpowiedzi.

Stawiamy kilka zniczy przed bramą, bo cały las to gigantyczny cmentarz, a my nie wiemy, ile ofiar daje swe soki drzewom...

Wychodząc w kierunku parkingu, idę obok naszego kierowcy, który w pewnym momencie, z lwowska zaciągając, mówi do mnie: "Panie, toż ta sosna wszystko to widziała. Ma ona z 60 lat... Tak i ja sobie na pamiątkę wezmę". Odiąmuje kawałek kory, a ja czynię to samo, wdzięczny mu za tę cenna informację.

Po chwili ruszamy z powrotem do Smoleńska. W ciszy oglądamy otoczony parkaniem las, który niebawem zostawiamy za sobą. Jeszcze nie wiem, że tej nocy będę tu ponownie...

x x x x x x x x x x x

8 kwiecień 1989 roku, godzina 4 rano czasu moskiewskiego. Ruszamy sprzed hotelu "Rosja" w Smoleńsku w stronę Wilna. Przez kilkanaście kilometrów będziemy jechać drogą na Witebsk, przejeżdżając przez las katyński.

Jedziemy w całkowitych ciemnościach i po kilkunastu minutach nasze autokary zatrzymują się na parkingu przed alejką, prowadzącą do grobów. Kilka wytypowanych uprzednio osób - wśród których znalazłem się i ja - ma za zadanie dotrzeć do grobów i sprawdzić na miejscu, czy wszystko jest tam tak, jak pozostawiliśmy poprzedniego dnia. Reszta pielgrzymki oczekuje nas w autokarach na parkingu. Chętnych jest sporo i przekonywanie ich, że więcej dokona i bezpieczniejsza będzie niewielka, operatywna grupa, trwa dobrą chwilę. Zwłaszcza trudno jest wyperswadować wszystko młodemu człowiekowi, który koniecznie chce dołączyć do nas. Dopiero argument, podnoszący że powinni pamiętać o tym, iż jest ojcem kilkorga dzieci, trafia mu do przekonania.

Nasza czwórka: Anna Naziarska, Andrzej Gazda, Henryk Bazydło i piszący te słowa, wchodzi w ciemność alejki. Tutejszy czas jest przesunięty o dwie godziny w stosunku do polskiego, stąd godzina 4.30 odpowiada naszej 2.30. Biegniemy alejką lekkiem truchtem, w absolutnej ciszy i bez światła, aby nie sygnalizować przedwcześnie naszej obecności. W ciągu minuty, może dwóch, dobiegamy do grobów. Wszędzie ciemność: niektóre znicze pogasiły, inne zostały porozrzucane nieznaną ręką. Jedyne biel drewna krzyża odbija się szaro na tle lasu i nieba.

Dopiero teraz włączamy małą latarkę, kierując ją na krzyż. Już widzimy wieńce: są oba, stoją tak samo, jak je zostawiliśmy. Anna zapala ocalałe z pogromu znicze, a Henryk dokumentuje na kliszy filmowej zastaną sytuację. Jego silny fiesz raz po raz błękitnie oświetla las dookoła. Niesamowite wrażenie...

Podchodzimy do kwatery, gdzie pozostały poświęcone tabliczki. Dokładnie oświetlamy całą powierzchnię. Nie ma ich - zniknęły: jakiejś "tajemniczej" ręce przeszkadzały. Komu? - tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że to nie

dzieło chuliganów czy złodziei, chociaż oba te wyrażenia pasowałyby w pewnej mierze do sprawy czy sprawców... Cóż, "głębokość" wciąż jeszcze odbija się od zwartej ściany lasu katyńskiego...

Natrafiliśmy na dątki - jedyną pozostałość po listewkach, na których były umieszczone obie tabliczki /jedna w formie krzyża z małą tabliczką mosiężną/. Fotografujemy te pozostałości i wracamy - teraz już przy niskim świetle latarki. Jej blask powoduje, że zauważam przy bramie parkanu ślad buta o głębokim protektorze, odcisnięty na miękkiej ziemi, zwrócony czubkiem ku zamkniętemu obszarowi lasu.

Po chwili jesteśmy z powrotem w autokarach, które natychmiast ruszają do Wilna. Już w czasie jazdy zdajemy relacje z tego co widzieliśmy.

Opuszczamy Katyń jeszcze bardziej przygnębieni...

STANISŁAW MATEJCZUK

I zbrodnię ktoś biały owija bawełną...
/Zapiski pielgrzyma do katyńskiego lasu/

Dla mnie zaczyna się to dawniej. W kuchni, w domu rodzinnym. Późne lata pięćdziesiąte. Wpadam, rzucając tornister, dziesięcioletnia smarkuła zafascynowana nową nauczycielką. - Wiedzie, już się dowiedziałam! Meża pani Jankowskiej Niemcy zabili w Katyniu!

I cisza. Wrocza, zdumiona wymiana spojrzeń między rodzicami. Czy to możliwe, żeby ich dziecko miało aż tak namieszane w głowie? Czyżby aż tak zapomnieli, że nie można ufać szkolnej edukacji? I surowa, choć jednak głosem przyciszonym nieco, ojcowska korekta wiedzy oficjalnej. Korekta wstrząsająca, nie po raz pierwszy zresztą, klarownym, szkolnym obrazem "białych" i "czarnych" na tej wojnie. Wersja na miarę ojcowskich wiadomości - poszarpanych, posklejanych z radiowych nasłuchów i przekazów pantoflowej poczty. Na miarę uczciwości rodzicielskiej, a zarazem lęków o niefrasobliwy ózór dziecka wyrastającego już bez obciążań lat, kiedy słowa prawdy o Katyniu powiedziane głośno, mogły kosztować nie tylko karierę, ale i wolność.

Odsłona druga. W living-room londyńskich przyjaciół rodziny. Późne lata sześćdziesiąte. Z nogami na kanapie, z palcami wbitymi w gorące policzki, studentka na wakacyjnych "saksach" zamiast spacerować po galeriach, pochłanianiem książki Czapskiego i Świaniewicza, ucze się na pamięć dokumentów katyńskich. Dla siebie i dla moich w domu, którym teraz ja mogę wypełnić szczegółami przedstawiony mi kiedyś kontur katyńskiego dramatu...

Odsłona trzecia: przed regałem w moim domu. Późne lata siedemdziesiąte. Ustawiam już moje własne "książki prawdziwe". Ojciec, choć "wie wszystko", podczytuje je ukradkiem... Te z przerzutów i przymytu i te na rodzimym sicie. Ustawiam je dość dyskretnie. Tak na wszelki wypadek jednak. Głos z magnetofonu - J.K. Kelus śpiewa balladę o rzeczach białych:

*A w lesie są groby bez krzyży i znioży
I białe są karty dziejowych rozliczeń
I zbrodnię ktoś biały owija bawetną...*

Scena czwarta: w kościele w Podkowie Leśnej. Późne lata osiemdziesiąte. A dokładnie - 5 kwietnia 1989, druga nad ranem. Godzina niezwykła. Za późno na pasterkę, za wcześnie na rezurekcję czy roraty... Stoje, jeszcze śrząc od nocnego chłodu, wokół, przed ołtarzem, kilkadziesiąt osób, każda z przypiętym okrągłym znaczkiem-plakietką. Na białym tle czarne litery: Katyń 1989 - Pielgrzymka z Podkowy Leśnej. Ci jedyni bez znaczków to odprowadzający. W świetle ołtarza pojawia się ksiądz proboszcz Leon Kantorski i ksiądz Zbigniew Łuczak.

Rozpoczyna się msza w intencji niezwykłej - za pomyślność parafian wyruszających na pielgrzymkę patriotyczną. Nad białą ornatu biała czupryna księdza Leona. Wmiesione ręce, twarz skupiona w modlitwie, ale przez skupienie przebija emocja czekającej podróży. I słowa krótkiego kazania: kochani, zostawcie na tych parę dni męczącą codzienność, walkę z kłopotami życia nieulażliwanego, zostawcie to za sobą. Bądźcie skupieni na tym co będziemy przeżywać razem przez dni pielgrzymki...

Przed kościół zajeżdżają autokary, pakujemy bagaże i najważniejsze - wieńce i wiązanki. Żeby się tylko nie pogniotły, żeby nie uszkodziły te delikatne gobeliny z kwiatów. Utkany z białych główek goździków orzeł w koronie ze złotych płatków. Na poduszce-łące z pasowych, strzępiastych pęków...

Ruszamy. Jeszcze w szybach przemija poblask z neonu krzyża nad kościołem i mrok wypełnia wnętrze autokarn. Ale sen nie przychodzi. Radość nie daje zasnąć. Jedziemy! Jeszcze wciąż nie można uwierzyć, że to jawa. Przecież kiedy jesienią zeszłego roku na zebraniu Parafialnego Komitetu Pomocy Bliźniemu zaświtał pomysł zorganizowania wspólnej pielgrzymki do Katynia, został zaszeregowany do szuflady raczej pomysłów romantycznych niż pomysłów do zrealizowania. Ale, właściwie czemu by nie potraktować "pielgrzymki do Katynia" jako Papierka Łakusowego do badania odczynu zmian rzeczywistości? Odpowiednie pismo powędrowało do "Orbisu". I cisza. Mijały kolejne miesiące pokrywając nadzieję kurzem. Niespodziewanie telegram z biura podróży. Jakaś kłapka nagle odskoczyła i teraz wszystko na przedwczoraj. Lista chętnych znacznie większa niż pojemność autokarów. Paszporty ekspresowe na osobistą interwencję księdza Leona. Gorączkowe poszukiwanie szarf do wieńców - towaru nagle deficytowego...

Drepczemy niemal po piętach oficjalnej delegacji jadącej zabrać ziemię z Katynia do Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. My jesteśmy prawie najpierwsi z "nieoficjalnych".

Na granicy stanowimy zjawisko nieco egzotyczne. Różne są cele wyjazdów turystów do biur podróży: Moskwa, Leningrad czy Wilno. Handel lub zwiedzanie. Ale Katyn? Nie, jeszcze nie... Odprawa paszportowa i celna po polskiej stronie przebiega błyskawicznie. Naprawdę nic nie wieziecie oprócz biblii i obrządków? Naprawdę. Nagle przykra niespodzianka. Jedna z uczestniczek zabrała w pośpiechu starą, nieważną wkładkę paszportową. Łzy w oczach - dla niej to nie tylko strata udziału w pielgrzymce - ona jedzie po raz pierwszy na grób swojego ojca! Oficer WOP też jest tym przejęty - sam doradza jak najszybciej sprowadzić paszport z domu, obiecuje pomoc przy przekraczaniu granicy bez grupy... Po radzieckiej stronie trochę krzywię się na tyle przewożonych świętości, ale w końcu książki przejeżdżają, tak jak i kwiaty, nie zakwestionowane przez kontrolę sanitarną. Może tylko nie całkiem dzięki perswazjom słownym...

Po chwili pierwsze bloki Brześćcia. Ścisła w gardle wilgotne, słone wzruszenie. To miasto w mojej dziecięcej, patriotycznej mitologii zatrzymało

miejsce równe jak Grunwald czy Westerplatte. Tu we wrześniu 1939 roku walczył mój Ojciec i żadna lekcja miłości Ojczyzny nie została we mnie na zawsze tak bardzo jak słowa szeregowca ze Szmulka. Z wnętrznościami wyszarpanymi przez granat, umierając na rękach mego Ojca prosił: panie poruczniku, niech pan powie mojej matce, że ginę za Polskę... Rok temu odszedł do Pana Boga i mój Ojciec, z odłamkiem granatu spod Brześcia wciąż tkwiącym pod obojczykiem. I taki wykształcał się w mojej świadomości archetyp żołnierza polskiego - kula w pierś w boju. O kulach w tył czaszki przyszło mi dowiedzieć się później...

Wjeżdżamy w głąb Republiki Białoruskiej coraz bardziej zostawiając wiośnię za sobą, coraz bardziej w głąb zimowych szarości zarośli bagiennych. Czasem tylko pierwsze nieśmiałe bazy nad przydrożnym rowem. Na drogowskazach nazwy miejscowości znane z historii Polski, z życiorysu wieszczów, opowiadań rodziny z Kresów... Białoruś. Wątle piaski z rzadką oziuiną. I rowy, rowy melioracyjne i długie szyje koparek. Bagna Polesia osuszane aż do erozji. Wciąż dalej i dalej wietrzejący torf. Ekologiczne tortury torfowisk znane i z okolic Wizny. Tortury powtarzane mimo znajomości ponurych skutków.

Przesypiam granicę z Republiką Rosyjską, budzą mnie dopiero ostatnie promienie słońca w kopułach smołeńskich cerkwi. Smoleńsk. Stąd tylko kilkanaście kilometrów do celu naszej pielgrzymki.

Rano jem śniadanie przy stoliku z wycieczką z Czechosłowacji. Kiedy nasz przewodnik zapowiada wyjazd do Katynia, moi czescy sąsiedzi starają się usytuować miejscowość na mapie turystycznych atrakcji. Katyń - ach, to ten Las Katyński o którym tyle mówi Wolna Europa! Nasze dwa autokary wyjeżdżają na szosę w kierunku na Witebsk. Jedzie z nami pilot "Inturistu", młody chłopak, absolutnie filologii polskiej na jednym z radzieckich uniwersytetów. Swobodnie mówi po polsku, współczesnym, może nieco "cwaniackim" językiem. Ale kiedy z całym szacunkiem tytułuje księdza Leona Ojcem Świętym widać, jakie pola języka nie zostały objęte edukacją... Po drodze opowiada nam historię Smoleńska i polski w niej udział. Z dużym taktem. Jednak, kiedy porusza sprawę Katynia - drętwieje na chwilę. Byłe tego momentu skupienia przed celem pielgrzymki nie przeciągł grzyt wykiócania się o prawdę, byle nie zniesmaczyły zmagania z oficjalnymi fałszami. Ale nie. Pilot, wystarczając młody, żeby i jego rodzice urodzili się już po katyńskim dramacie, wie swoje. Dystansuje się od przedstawianej wersji wydarzeń, mówiąc, że podaje to, co przez wiele lat obowiązywało i właściwie, mimo głosów wątpliwości, nadal obowiązuje w wersji oficjalnej i jedynej w jego kraju. A więc wyniki prac Radzieckiej Komisji Specjalnej, nawet z udziałem córki ambasadora USA, a więc zbijanie dowodów Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża. Potem stosunek do dowodów tej ostatniej miękł wraz z utrwalaaniem się "pierestrojki". A teraz, może nam w tajemnicy zdradzić, wie z przecieków, że nie dalej jak na początku maja zostanie podana nowa wersja oficjalna, zgodna z aktualnym stanem wiedzy i nastawień do epoki stalinowskiej. Coraz mniej białych - a raczej czerwonych - płam zostanie przemilczanych. Między słowami daje się poczuciu, że dla niego mord dokonany na polskich oficerach to zaledwie jeden z epizodów dramatu w katyńskim lesie, gdzie od kul NKWD ginęli chłopcy spod Smoleńska, kobiety przywiezione wprost ze strajkujących fabryk, tysiące radzieckich ludzi, dotąd bezimiennych... Prawdy dla niego nowe, ale już nie tylko szeptane.

Zatrzymujemy się na sporym, otoczonym lasem parkingu. Wsiadamy z autokarów i nagle przykre zaskoczenie. Przestała działać nasza kamera video, która miała utrwalac na taśmie kronikę pielgrzymki. Defekt właśnie w takim momencie! Później okaże się, że i w wielu aparatach fotograficznych coś się popsuło albo zerwał się film. Czyżby to drżenie naszych wzruszonych rąk tak bardzo udzieliło się mechanizmom, obojętnym przedmiotom? Prostujemy szarfy

przy wieńcach - te od Podkowy Leśnej i te od świeżo co reaktywowanego PSL i te od rodzin pomordowanych oficerów. Kwiaty nie zmęczone kilkusetkilometrową podróżą białszą czerwienią w szarym, zimowym krajobrazie. Formuje się kolumna konduktu. Z przodu księża i młodzież z kwiatami, dalej pozostali, wzruszeni, ze zniczami, z obrazkami świętymi. Zatrzymują się samochody, gdy przekraczamy szosę by skrócić w boczną, asfaltową drogę. Wchodzimy w las, a właściwie fragment lasu udośćniony z dużego kompleksu otoczonego wysokim ogrodzeniem. Za ogrodzenie wnika odnoga drogi, raczej szeroka ścieżka przecięta potężną, powleczoneą siatką bramą. Prowadzi w głąb dawnych posiadłości NKWD, gaszcz kryjący straszne tajemnice. Na bramie tabliczka obwieszczająca - teren zamknięty - rezerwat. Podświadome pytanie - czego? I pojedyncze kwiaty zawieszane przez kogoś na siatce - czerwone płamy rzucone w perspektywę pni z łuszczącą się złotą korą. Brama, która dla wprowadzanych otwierała się tylko w jedną stronę... Pod bramą, na ostatniej drodze żywych - zapalony znicz...

Las katyński. Dla przyrodnika - raczej bór, bór świeży. Sosny, niżej świerki, mech i borówki na ziemi bez szeleszczących liści, między płatami topniejącego śniegu. Sprawia wrażenie zimy jeszcze na serio, ale ziemia jest miękka. Podobno cały luty i marzec nie było tu jeszcze śniegu. Spadł dopiero w pierwszy dzień kwietnia. Najlepsza zima stulecia, nie taka jak 49 lat temu, gdy w kwietniu wciąż ścisnął mróz. Czy pachniały wtedy igliwem zmarznięte, odporne grudy raniące twarz przyściśniętą do ziemi?

Kiedy zdrzedł twarz do góry, czuby sosen zbiegają się pniami coraz smuklejszymi z morfologii i perspektywy. Porywają się gałęzie nie w niebie mldo-szarym, z pasją szamoczą się w lewo i w prawo, aż do zawrotu głowy. Sosny katyńskie. Niezbyt dorodne, nie umiem dokładnie określić ich wieku. Świadkowie - nie, większość to raczej pogrobowcy dramatu. Może rówieśnice sadzonek, które wkopane na grobach stały się świadkami oskarżenia mówiąc słojami przyrostu o dacie zbrodni. Po chwili las ustępuje nieco, perspektywa rozszerza się polaną schodzącą w dół od drogi. W niecce polany cztery, otoczone niskim centymetrowym murkiem, kwatery. Symbol czterech zbiorowych mogił odnalezionych gdzieś niedaleko stąd w 1943 roku. W środku pomiędzy nimi czarna, granitowa płyta - miejsce gdzie będzie wzniesiony pomnik ku czci polskich oficerów. Oddzielając od lasu, zamykają teren symbolicznego cmentarza dwa skrzydła - bloki z szarego kamienia. Spięte, niczym cierniowymi gałęziami, czarna, kutą kratą. Na prawym kamiennym skrzydle wyryty napis: ofiarom faszyzmu, oficerom polskim zamordowanym przez hitlerowców w 1941 roku. Na lewym skrzydle - te same słowa po rosyjsku. Za kratą, już na zewnątrz części z kamieni, wrysowany w ścianę lasu stoi ogromny krzyż z jasnego, bursztynowego drewna drzew z polskich lasów. Ofiarowany przez ks. Prymasa na miejsce gdzie w przyszłości ma stanąć gigantyczny pomnik-krzyż. Najbardziej prosty i przejmujący znak boskiej i ludzkiej ofiary... Pod krzyżem usypana symboliczna mogiła z leśnej ziemi. Tu uroczyscie składamy przywiezione kwiaty, zapalamy znicze. O krzyż oparty obrazek Matki Boskiej Kozieleckiej. Papierowa miniaturka obozowej świętości wyrzeźbionej przez oficera, któremu Opatrzność pozwoliła nie znaleźć się wraz z kolegami w transporcie do tego lasu.

Rozpoczynają się przygotowania do mszy. Na środkowej, czarnej płycie przyszłego pomnika białe nakrycie ołtarza, mszał, złote naczynia. Zaimprovizowany ołtarz jest tak niski, że w czasie liturgii widać pochylone plecy księży. I sylwetka drewnianego krzyża zamykająca widok za plecami celebrantów. Głosy, drżące wzruszeniem przy modlitwie wiernych: Boże, dopuść do swojej świątliwości pomordowanych tu synów Polski, więźniów Ostaszkowa, Starobielecka, obozu w Kozielecku, Ojcie Nasz opiekuj się w niebie duszami ojców naszych przyjaciół, co przechowują ostatni list z wiosny 1940...

I szum sosen... Ksiądz Leon podnosi głowę, też fascynują go te niespokojne drzewa, mówi o nich w kazaniu tej mszy pod gołym niebem, pod lotnym dachem z gałęzi. I padają słowa mocne, bez owijania w bawełnę, ale i bez agresji. Słowa przypominające zbrodnię i polecające Bogu tych, co tu zginęli i tych, o których prosimy Pana Boga, żeby ich czyny wybaczył...

Ludzie wokół ołtarza, uczestnicy mszy. Twarze znajome, te same jak co niedziela na sumie w podwarszawskim kościele. To potęguje jeszcze ekspresję uczuć, bez maski czasem narzuconej w obecności obcych, przypadkowo zebranych. Wspólne przeżywanie chwil wzniosłych, które połączy, na kolejne lata scementuje te małe, parafialną społeczność miejscowości, gdzie już nie jedno wzruszenie patriotyczne dane było przeżyć razem. Wzruszenie historii przywołanej i wydarzeń bieżących naszych dziwnych czasów. Co czują? Jakie własne skojarzenia i emocje spływają w słonym pieczeniu. oczu? Tych troje - najbliżej przy płycie ołtarza. Katyńskie sieroty. Po raz pierwszy na grobie ojców. Dorosłe kobiety, może już matkują wnukom. Nigdy nie widziały swoich ojców. Rosły z dzieciństwem okradzionym nawet z ich obrazu. Mężczyzna o siwiejących skroniach, któremu zachowane w kilkuletniej pamięci wspomnienie ojca kazało przez całe życie poszukiwać prawdy o Katyniu. Traktować jak wolę ojcowskiego testamentu przekazywanie tej prawdy innym... Ludzie, którzy ze swoimi bliskimi stracili wszelki kontakt na wiosnę 1940. Ludzie, którzy ze świadomością katyńskiego dramatu żyją od lat i ci, dla których to dopiero co objawiona jedna z wojennych sensacji. I ci młodzi, którym wojna jawiła się z opowiadań rodziców i ci najmłodszy, których nawet rodzice nie znali wojny. Co czują ci, których samych śmierć musnęła nie tylko z niemieckiej broni, ale i później, z broni innej, za to, że na tej wojnie walczyli o wolną Polskę. Co czują?

I znów słyszę słowa Ojca. Z tych wieczornych godzin czasu dla córki - wspomnienia o najlepszym przyjacielu Leszku Górskim, tak jak i On, nauczycielu, oficerze rezerwistcie, który na froncie został odkomenderowany o kilka kilometrów dalej. Wystarczając dalej, żeby teraz wspominała jego nazwisko w modlitwie za poległych w tym lesie. Nazwisko ocalone w pamięci dziecka przyjaciela, bo swoich własnych już nie zdążył zostawić...

Przywiany skądś strzep wiersza Hemara:

*I tylko pamięć została po tej katyńskiej nocy
Pamięć nie dała się zgładzić, nie chciała ulec przemocy*

Coraz cieplej w gardle, coraz słonej w oczach, rozmazuje się wilgotną zaćmą obraz pomniejszony w lustrzance aparatu, gdy chcą tę chwilę utrwalić nie tylko dla siebie, ale i dla tych, którzy z nami nie mogą tu być. Kończy się msza. Jeszcze nad tym miejscem dotkniętym wojną, ludzką nienawiścią, krwią i terrorem, przekazujemy sobie znak pokoju. Ręce wyciągają się ze wszystkich stron, ciepło dłoni w ten chłodny poranek dodaje wiary i otuchy. Zbliżają spotkania oczu wilgotnych, łyzy, których nikt się nie wstydzi.

Potem jeszcze ziemia zebrana z igliwem i szyszkami - relikwie z tego miejsca, pamiętki święte z lasu-cmentarzyska najbliższych i bezimiennych. I małe przestępstwo wobec praw własności przyrody radzieckiej. Wykopujemy z ziemi już rozgrzanej słońcem dwie siewki - sosenkę i świerk. Z grudą borowej, brumatywnej ziemi przetkanej nitkami butwiny. Drzewka, jakimi 49 lat temu obsadzono świeże mogiły - splantowane doły. Może posadzone przy kościele w Podkowie będą namiastką grobu ojców dla tych co do lasu pod Smoleńskiem nie mogą pojechać, aby w Święto Zmarłych zapalić świecę? Nie ograniczone płytą pomnika będą żywą pamięcią, rosnącą z roku na rok...

Wracamy do autokarów już nie kolumną, ale rozproszeni, jeszcze w samotności przeżywamy chwilę nabożeństwa, jeszcze zapalamy światełka przed kamieniem-pomnikiem jeńców radzieckich rozstrzelanych tu przez hitlerowców. Jeszcze modlitwa cicha, z czołem przywartym do pnia sosny. Z twarzą na chwilę przyciśniętą do tej wilgotnej, pachnącej borówką ziemi. Ziemi podwójnie doświadczonej.

Po południu Smoleńsk. Sobór Uspiński z ciemnymi twarzami madonn w złotych sukienkach i nad ranem, prawie w środku nocy, wyruszamy do Wilna. Droga znów wiedzie przez las katyński. Zatrzymujemy się na moment. Kilkoro najsprawniejszych biegnie jeszcze raz zapalić znicze. Wnikają w ścianę lasu, mrok za nimi zamyka się szczelnie. Sosny szumią niespokojnie, udziela się lęk krzyku nagle zbudzonego ptaka. Oddech ulgi, gdy z lasu wyłaniają się znów błyski latarek. Wrócili. Zapalili przygasie znicze, poprawili szarfy przy wieńcach. Ale już nie znaleźli przywiezionych z kraju, bitych w mogiły tabliczek-klepsydry. Z nazwiskami ojców i datą śmierci - kwiecień 1940. Zniknęły. Sprzątnięty tajemniczą ręką dysonansem z niezmiennie obecnym tu w kamieniu zapisem daty i sprawców zbrodni.

Ruszamy dalej. Podnosi się mgła poranna, nieuchwytna, niematerialna i zacierająca kształty. Mgła jak biała bawełna.

ANNA KALINOWSKA

DANYM MI BYŁO BYĆ W KATYNIU

Wiedziałem, że On nie żyje, wiedziałem z czyich rąk zginął, siedziałem tropem wieści o Nim, ale jeszcze nie ukląknę u Jego prochów. Był rok 1973, jedenaście lat po śmierci Jego Żony, a mojej Matki, 34 lata od pożegnania z Nim na stacji kolejowej Jasło. A ja siedziałem stałe tropem, choć nie pamiętałem już Jego twarzy. Przypominała mi się Jego duża kochana postać, ale twarz... już tylko z fotografii.

Kiedy 31 sierpnia zegnał mnie i moją Matkę - był w mundurze kapitana, z baretką *Virtuti Militari* na piersi. Mówił: "Mateczko, uważaj na siebie i syna i wychowaj go na Polaka", a do mnie: "opiekuj się Mamusią, bo musisz mnie zastąpić". Ojciec dlaczego powiedziałeś "wychowaj go", a do mnie "musisz mnie zastąpić"? Skąd to wiedziałeś?

Pamiętam Jego słowa, choć twarz jawi się znów ta - z fotografii.

Ojciec - włożyłeś zbyt wielki ciężar na barki 8-mio letniego syna, nie dałem rady... Dzisiaj ciężko mi, gdy sumuję swoje życie, a czas wielki na to, szczególnie po tym gdy 7 kwietnia 1989 roku klęczałem na nieludzkiej ziemi w lesie katyńskim, u Twoich prochów.

Lecz wróćmy... jest rok 1973, a ja chodząc po Jasło, zatrzymałem się na postoju taksówek. Rozmowa wyglądała tak:

- Poszukuję pana Stanisława C., który jest podobno w Jasło taksówkarzem.
- On już jest na emeryturze i nie jeździ.
- A gdzie mieszka?

- A co to pana obchodzi?
- Bo go szukam.
- To szukaj pan, my nie biuro informacji!

Nie było rady, trzeba było powiedzieć co i jak, bo będę szukał i znajdę lub nie. To co mogę powiedzieć to ani tajne, ani wstydlive. Więc:

- Panowie, pan Stanisław był, do 17 września 1939 roku, kierowcą wojskowym mojego Ojca. Może coś wiedzieć o Nim. Oto zdjęcie mojego Ojca, którego bolszewicy zamordowali w Katyniu. W Katowicach dowiedziałem się, że pan Stanisław ożenił się z dziewczyną z Jasia i że tu w Jasie mieszka. Więc jeżeli nie jeździ taksówką, to inaczej go nie spotkam, jeżeli nie podacie mi adresu. No więc?

Taksówkarze biorą do rąk zdjęcie mojego Ojca... Jeden z nich mówi:

- Słuchajcie, to chyba prawda, bo ten oficer ma stopień kapitana, a Stanisław zawsze mówił, że jeździł z kapitanem.

Teraz już wszyscy z postoju mówią i chcą mnie prowadzić do niego.

Zaprowadzili.

Dzwonią do drzwi.

Otwiera starszy pan.

- Staszku, pan do ciebie!
- Panie Stanisławie, nazywam się Józef Bocheński, czy panu to coś mówi?

Pan Stanisław przygląda mi się uważnie, ale z dezaprobatą.

- Znałem Józefa Bocheńskiego, ale to nie może być pan. Tamten był kapitanem w 1939 roku i byłby dzisiaj dużo starszy.

- Panie Stanisławie, ja jestem Jego synem, też nazywam się Józef, kiedy widywaliśmy się przed wojną miałem 8 lat i wszyscy mówili na mnie Kotek. Pan też mówił Kotek na mnie. W dniu imienin mojego Ojca i moich, pan podarował mi latarkę-paluszek i pojechaliliśmy po gości. To były ostatnie nasze imieniny - 19 marca 1939 roku. Miał pan wtedy bardzo ładną narzeczoną w jedwabnej kwiecistej sukience. Wychodziła po pana na szosę, gdy wracaliśmy z Krempnej... Jej ojciec miał warsztat rowerowy...

Stanisław jęknął, otworzył ramiona i długo płakaliśmy razem do siebie przyciśnięci. Dwa chłopcy, jeden siwy, drugi siwiejący... staliśmy i płakali objęci wpięci...

Taksówkarze też stali, a kiedy Stanisław otworzył ramiona, już ich nie było - poszli do swoich spraw, albo zrozumieli, że spotkało się dwóch ludzi obcych, a jednak bliskich, którzy mają sobie wiele do opowiedzenia, ale tylko sobie...

A u Stanisława... stoliczku nakryj się!

Długo w noc opowiadał mi Stanisław o moim Ojcu... Pamiętał Go lepiej, miał wtedy ponad dwadzieścia lat i był z Nim jeszcze trochę po 17 września 1939 roku.

Godziny szły bez kontroli, przeszły wszystkie powrotne pociągi do Rzeszowa, gdzie miałem zamówiony wcześniej hotel, butelka ulubionego przeze mnie koniaku ledwo tknięta, przysmaki pani domu dalej na stole, a ona sama niedopuszczona do głosu - poszła już dawno spać, a my wspominaliśmy...

Kochany Staszku! tyś przywrócił bieg światła od gwiazdy, która dawno zagasła, a promyk jej rozpiływał się w przestworzach u stóp Boga Przedwiecznego. Boże, jakżeby cieszyła się Matka, gdyby ciebie znów słyszała mówiącego o Kapitanie...

Od ciebie Staszku wiem, że Ojciec mój pożegnał przełożonego na moście w Zaleszczykach, bo tam był koniec polskiej służby. Za rzeką było internowanie i nie było już podległości, przełożony nie mógł rozkazywać.

Kapitan wrócił z mostu na polski brzeg, właściwie razem wróciliście, choć ty mogłeś też nie wykonać już rozkazu i przejść na ten drugi brzeg.

Wróciliście, bo chcieliście dalej walczyć na swojej Ziemi, a kapitan chciał wziąć odwet za śmierć żony i syna w zbombardowanym pociągu ewakuacyjnym rodzin wojskowych. Ale żona i syn nie byli w tym zbombardowanym pociągu, byli w innym, który szczęśliwie dojechał do Warszawy i nie mógł ich zwłok widzieć kolega-oficer. Kolega pomylił się.

Jak tragiczna w skutkach była ta pomyłka, może Ojciec przeszedłby na ten drugi brzeg i może doszedłby do Francji - może zginąłby później, a może przeżyłby? Tylko Bóg mógłby dać na to odpowiedź...

Kapitan wrócił z granicznego mostu; w jednej potyczce dostał postrzał 6 kul z karabinu maszynowego w udo. Staszek wyniósł Go z pola ostrzału, na plecach, czołgając się. Leżeli chronieni tylko szyną kolejową i nasypem kolejowym, za nimi był Poprad.

Byłem w tym miejscu wiele lat później, leżałem może w tym samym miejscu. Patrzyłem ponad szyną kolejową na przeciwległe wzgórze. Tam byli wtedy Rusini /Łemkowie/, którzy podobnie jak w głębi kraju V kolumna, tak oni też strzelali do polskiego wojska.

Tyraliera skokami poszła do przodu, żołnierze nałożyli bagnety na karabiny. Rozległa się czyjaś komenda, krzyknęto: Hurrraaa! Hurrraaa!

Jeszcze zajazgotał tamten karabin maszynowy, ale zamarł...

Wroga wyparto.

Żywi wracali, martwych policzono. Zdjęto odłamanie znaki tożsamości, pochówkiem zajęć się zaofiarowali miejscowi ludzie. Trzecha było się wycofywać, w pobliżu był niemiecki oddział, który niecałą godzinę wcześniej był zdrowo ostrzelany przez Kapitana i Jego oddział. Nie było czasu na pochówek.

Stanisław zaniósł Kapitana do sanitarki. Krwawił pomimo polowego opatrunku. Nic dziwnego, 6 kul w udzie. Nie pierwsze to kule i nie ta ostatnia...

Kapitan został skierowany do szpitala wojskowego, aż do Równego. Tam koncentrowały się oddziały wojskowe z całej Polski. Miano dalej walczyć z Niemcami.

Stanisław wynosił na plecach swego Kapitana. Ostatni raz wyniósł Go w Równym, gdy wpadli w sowiecką zasadzkę, było to 18 lub 19 września.

Rozdzielono ich po paru dniach, jeden był oficerem pańsko-burżuazyjnego rządu, drugi był żołnierzem tylko. Żołnierz był młody i zdrowy. Jednej nocy uciekł z niewoli i dał świadectwo prawdzie.

Kapitan napisał w grudniu 1939 roku list z Kozielska na adres Dziadka w Warszawie. Donosił, że już jest zdrow. Może dodawał sił rodzinie? Znajomi lekarze kiwali głowami ze zrozumieniem - we wrześniu 6 kul w udzie - to jak przez maszynkę do mięsa, a po 2-3 miesiącach już zdrowy? Może, a może nie?

Staszek mówił, że gdy wieźli ich towarowymi wagonami, z zadrutowanymi drzwiami - w głąb ZSRR, to jechali przez smutny, biedny kraj. Przy płotach stali starzy, siwi chłopcy, o oczach chyba niewidzących i zatopionych gdzieś w oddali. Tak biednego kraju nie widział on i inni żołnierze w całym swoim życiu, ani wtedy, ani później.

A pociąg wlokł się całymi dniami jak gąsienica, uwożąc ich w sowiecki jasyr, w nieznaną jeszcze wtedy los.

Nieraz na postoju stawiano wiadro z wodą przy rozwieranych drzwiach i po kromce suchego czarnego chleba dano. Nieraz...

Nieraz, przy stacjach widzieli dzieci idące do lub ze szkoły. Wyłachmanione i bose, lecz wiele z nich miało czerwone pionierskie chusty związane na koszulach, powojaskowych bluzach lub ojcowych wytartych куртках. Wygrażały one pięściami, rzucały kamieniami, wołały: "Pany-krwiopijcy".

x x x x x x x x x x x x

Przez 50 lat głośno twierdziłem, że pojedę na grób Ojca do Katynia ale...

Jeszcze na ostatnie Boże Narodzenie mówiłem: - na pewno pojedę -, ale myślałem: obym pojechał kiedyś przed swoją śmiercią...

I oto... 6 kwietnia o 3 w nocy, po Mszy św. nocnej, jakby pasterkowej, wyruszyliśmy pielgrzymką z Podkowy Leśnej, a 7 kwietnia też w porze śnieżnej jeszcze, o 9 rano byłem w lesie katyńskim. Miałem na nogach zimowe buty z futerkiem. Oni byli w oficerkach, pod spodem mieli przymocowane deszczulki by tak nie ciągnęło od zaśnieżonej ziemi... nieludzkiej ziemi.

To miejsce naprawdę zwie się Kosogory, co można tłumaczyć: Kozie Góry, a las jest oparkany na ok. 2,5 m w górę i wzdłuż Bóg wie ile, nie miałem myśli żeby zmierzyć. Dzisiaj żałuję, że nie zmierzyłem, ale wiele rzeczy nie zrobiłem. Byłem jak w transie. Stary chłop, tyle przeszedłem, a jakim zgłupiał... siedział jak manekin, robiłem zdjęcia - porwał mi się film. Byłem tuż obok prochów Ojca, a nie ucałowałem nieludzkiej ziemi, w którą wsiąka Jego krew. Dzisiaj byłbym trzeźwiejszy. Tak, byłbym trzeźwiejszy, to dobre słowo. Wtedy byłem pijany biegnącymi galopem zdarzeniami. Jeszcze rano 5 kwietnia nie można było odnaleźć mojego paszportu, jeszcze pokazywano mi papiery, które "dopiero otrzymano do załatwienia", chociaż złożyłem je 27 dni wcześniej. A tu komputer zepsuł się i... przyko im bardzo. O godz. 14⁰⁰ otrzymałem paszport... wypełniony przed zepsuciem się komputera w dniu 31 marca. I jak tu wierzyć, że cokolwiek zmieniło się...

Może w Moskwie, ale u nas... zbyt wielu stalinowców...

Więc z minuty na minutę zmienia się kalejdoskop... mam paszport, a już usłuźni mówili: widzisz, zaskarżyłeś w 1984 wybory w Brwinowie, teraz masz. Wywiozłeś sekretarzy w 1981, więc masz. A tu jednak poskutkowało ostrzeżenie, że jeśli nasza 12-tka nieprawomyślnych nie otrzyma paszportów, to cała pielgrzymka nie pojedzie. Ktoś, z tych mądrzejszych pomyślał: po co smród o ten wyjazd? Znów zagranica ogłosi o sankcjach na niebлагонadiożnych, a tu żeby iść o pożyczki zagraniczne...

I jednak jestem w lesie katyńskim...

Na wydzielone miejsce prowadzi asfaltowa dróżka. Do innej części lasu nie wejdiesz. Tam płot i tablice: teren państwowy. A co tam nie jest państwowe? Nawet włosy na głowach są policzone, a jeśli nie, to dlaczego aż 9 aparatów fotograficznych rwie filmy? Dlaczego kamera video trafiona jest też "uszkodzeniem"? Dlaczego później w nocy giną tabliczki naszych Ojców? Kto zabrał z grobowych kwater niewypalone znicze?

Kto pod Krzyżem porozrzucił tam postawione znicze? Mógł je zabrać, ale tylko rozrzucił, dlaczego? Co chciał przez to pokazać? Że to rosyjska ziemia? To wiemy, tylko tam mogą stać tablice z napisem, że naszych Ojców rozstrzelali hitlerowcy w 1941 roku. Więc po co profanacja? Że niby nic nie znaczymy? To też wiemy, wystarczy zajrzeć do roczników statystycznych.

Wystarczy zajrzeć do pustych sklepów. Wystarczy czekać na odnalezienia dokumentów z sowieckich archiwów. Dokumentów, których już od dawna nie ma...

Lecz wróćmy... na wydzielone miejsce prowadzi asfaltowa dróżka.

Tam podobno spoczywają Oni, a wraz z Nimi mój Ojciec, który ma numer AM 1047 przydzielony przy niemieckiej ekshumacji.

Trudno to zrozumieć, moi wrogowie Niemcy - ekshumowali zwłoki mojego Ojca. Pozwolili katolickiemu księdzu odprawić wtedy w 1943 roku Mszę św. żałobną...

Moi "przyjaciele" rosyjscy bolszewicy nie pozwalali odwiedzić mi grobu Ojca, rzekomo rozstrzelanego przez hitlerowców, jak to do dzisiaj głoszą kłamliwa tablice umieszczone przy drodze, oraz kłamliwy napis na samym już cmentarzu...

Jezus Chrystus łąjąc Chleb w Czwartek wieczorem powiedział: "Oto Ciało Moje. To czyńcie na Moją pamiątkę".

Na Ofiarowaniu, podczas naszej Mszy św. 7 kwietnia 1989 roku, na grobach w lesie katyńskim, dziewczęta poniosły Chleb i Wino, a pani Maria i ja ofiarowaliśmy przy ołtarzu tabliczki trumienne naszych Ojców. Te tabliczki skradli strażnicy lasu i prawdy, strażnicy z KGB, bo którzyś inni. Już w nocy, kiedy sprawdzaliśmy mogiły i złożone na nich kwiaty, znicze i tabliczki - już pierwszej nocy ich nie było.

Przed Mszą św., każdy z nas włożył do Kielicha swój Komunikant. Widać parę osób zagapiło się, bo przy Komunii wiernych zaczęło brakować Komunikantów i wtedy ks. Leon Łamał te nieliczne pozostałe i rozdawał mówiąc "Ciało Chrystusa". Byłem wśród tych na końcu, co dostali naprawdę Łamany Chleb i poczytuje sobie to za wielką Łaskę, bo Chrystus Łamał Chleb, a uczniowie idący do Emaus po tym Go poznali.

Za drugą wielką Łaskę dana od Boga poczytuje również sobie, że litanię rozpocząłem ja, prosząc za moim Ojcem. W Piśmie jest powiedziane, że pierwsi będą ostatnimi, więc niech tym ostatnim będę ja, a pierwszym mój Ojciec.

A że do trzech razy sztuka, więc trzecia Łaska, że byłem w lesie katyńskim, w którym gdzieś spoczywają prochy mojego Ojca.

Piszę, że "gdzieś" w lesie katyńskim, bo zbyt długo idę tropem i dzisiaj jestem przekonany, że byliśmy w lesie katyńskim na niby-cmentarzu, ale prawdziwe mogiły są trochę dalej. Są trochę dalej, bo wg szkiców z 1943 roku było to ok. 800 m od willei NKWD, która spalona, a która była nad Dnieprem.

Ale czy to ważne? Byłem w lesie katyńskim, chociaż drzewa też wymieniła władza radziecka na młodsze.

Nie wymieniła tylko naszej pamięci, nie da rady...

JÓZEF BOCHEŃSKI

*/fragmenty obszerniejszej pracy
wyróżnionej Nagrodą Specjalną/*

6 kwietnia 1989. Pierwszy dzień pielgrzymowania. Wychodzimy z domu. Krótki marsz przez uśpioną, ciemną Podkowę. Wiatr ustał, powietrze jest chłodne i wilgotne. Znakomicie orzeźwia.

2¹⁵. Msza święta. Świetne, bardzo oszczędne w słowach, kazanie ks. Leona. Takich właśnie homilii powinni wysłuchiwać ci, których czeka długa pielgrzymia droga. "Chciałbym, aby te autokary stały się ozami Pokoju Bożego" - czyż można w tych okolicznościach powiedzieć coś lepszego?

... Pielgrzymki, posty, peregrynacje obrazu. Obrzędy, które przez znaczną część inteligencji są uważane za wstydliwą i anachroniczną formę polskiego katolicyzmu. Za formę, z której w imię europejskości, nowoczesności czy chociażby dobrego smaku, trzeba zrezygnować. Nic jednak nie potrafi wytrącić nas tak skutecznie z codziennej rzeczywistości, jak wyczerpująca pielgrzymka czy ścisły post.

Biał ścian podkowińskiego kościoła, ciemna noc za oknami, wrażenie świeżości i wilgotności na twarzy po odbytym spacerze. Niezwykłość sytuacji pozwala, nawet zmusza do głębokiego przeżycia Mszy św., która jakże często sprowadza się w naszym powszednim życiu, do odstania czterdziestu pięciu minut w niedzielny poranek.

Pielgrzymka autokarem niewiele ma wspólnego z bolącymi, stwardniałymi stopami pielgrzyma. Nasuwa raczej skojarzenia z przypadkiem pewnego Amerykanina, któremu pewnego dnia objawił się Jezus, kazał wziąć krzyż i wędrować po całym świecie głosząc Słowo Boże. Ale Amerykanin, ze swoją amerykańską pomysłowością i skłonnością do ułatwiania sobie życia, przybił do swojego lekkiego i tak już symbolicznego krzyża dwa kółeczka. I tak - nie niosąc lecz ciągnąc swój smukły krzyż, przemierzał z pielgrzymką do Częstochowy polską ziemię.

Opanowuje mnie jednak wzruszenie, gdy nasz kierowca, pan Antoni, zaciągając z wileńska, intonuje modlitwę "Pod Twoją obronę". W mroku autokaru brzmi to bardzo uroczyście. Zaraz potem usypiamy. Budzimy się dopiero na granicy. Polska kontrola przebiega sprawnie i szybko. Potem wejście radzieckiego "wopisty". Zbiera paszporty. Okrągłolicy, z zadartym nosem, ubrany w ten "ichni" mundur, w czapce o dużym, niemal karykaturalnym denku, odpowiada naszym, polskim wyobrażeniom o radzieckim "sołdacie". Każą nam wysiąść i zabrać wszystkie bagaże. Kontrola celna jest tym razem formainością.

Z uwagą oglądamy budynki przejścia granicznego. Niewiele różnią się od polskich. Szaro, bezosobowo, trochę zniszczonych, zaniedbanych kwiatków w doniczkach. Wydaje się, że jest trochę brudniej niż w Polsce. Ale... to wrażenie można chyba przypisać uleganiu stereotypowi ZSRR - kraju biedy, brudu i nonsensu. Taka wizja wyłania się z literatury, relacji i egzotycznych anegdot opowiadanych przez znajomych. Trzeba uważać! Nie chcę przecież przywieźć jedynie potwierdzenia swoich wyobrażeń o Kraju Rad. Nie pozwolić się zatem uwieść zabranym z Polski stereotypom, które zawężają pole widzenia. Każą zauważać tylko te elementy rzeczywistości, które pasują do utrwalonego obrazu.

Bogdan zaryzykował i poszedł do toalety. Podobno czysto, ale bardzo śmierdzi. Na umywalce położono kawałeczek szarego, zwykłego mydła.

Po kontroli idziemy do baru. Trochę słodczy, zimne napoje. Bogdanowi udaje się wypić ostatnią herbatę w tym lokalu. Pozostałym, spragnionym gorących płynów, pielgrzymom bufetowa odpowiada:

- "Niet, kipiatok okonczilsja. Wada zaklucziena, riemont."

No cóż, socjalizm. U nas też to się zdarza.

Henio opowiada przygodę z radziecką celniczką:
Celniczka: - Piero u was jest?

P.H.: - Jest.

Cel.: - Dajcie mienia, u mienia niet, a mië nada rabotat'.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Zachowanie celniczki potwierdza nasze wyobrażenie o mentalności Rosjan, ich prostodusznej beztroście w sposobie traktowania cudzej własności. Przygoda Henia świetnie obrazuje system socjalistycznej pracy. Stereotypy nie biorą się przecież z powietrza.

Przejeżdżamy przez Brześć. Drewniane domki, małe i zaniedbane, nierówne, zniszczone płoty. Socjalistyczny banał nowych osiedli. Jakieś dwa dźwigi w oddali. Bardzo mało samochodów. Osobowych prawie się nie widuje, a te które jeżdżą - to stare trupy.

Wyjeżdżamy z Brześcia. Wsie małe, prawie w całości drewniane. Domki wyglądałyby ładnie, ale są bardzo zaniedbane. Zabudowa indywidualna wyłącznie parterowa. Gdzieś nigdzie mignie murowany dom, czasami można zobaczyć kolonię nowych czy nawet jeszcze budowanych domów kołchozowych. Zwykle są to małe bloki, czasami osiedla bliźniaczych, jednorodzinnych domków z pochylonymi dachami. Zabudowania kołchozów: obory, stajnie, garaże, wyglądają dosyć ubogo. Ot, rząd budynków zruconych w bezkresne pola i ugory Polesia. Ołbrzymie płachty zaoranej ziemi. Dużo wody, rzeczułek, rozlewisk. Lasy mieszane lub liściaste, zagajniki karłowatych brzoźek, które toną w olbrzymich przestrzeniach bagien czy podmokłych łąk i pastwisk. Mokro i nieco mgliście. Ta lekka mgiełka, a może po prostu nieprawdopodobnie puste przestrzenie sprawiają, że wszystko - wioski, drzewa, laski - wydaje się małe i zagubione.

Zасыpiamy ukołysani monotonym burczeniem silnika. Od czasu do czasu budzę się z poczuciem winy, że coś tracę. Uchylam zatem powieki i widzę: las, szmat zaoranego pola czy nędznie zabudowania w oddali. Zасыpiam znnowu. Eh, bezkresna i monotonna ta "matiuszka Rosija".

... Trudno jednak myśleć i pisać o tej ziemi i nie ocierać się o banał...

Zaczynam rozumieć nieco lepiej pewne sprawy. Polesie było przecież kiedyś polskie. Granica przebiegała niedaleko Mińska. Te ogromne obszary, cóż z tego, że niezagospodarowanej ziemi, mogły budzić poczucie mocy, nieograniczonych możliwości. Pojmuje już z czego wypływało przedwojenne marzenie o Polsce silnej i mocarstwowej "od morza do morza".

Czy można się także dziwić sowieckim imperialistycznym dążeniom?

Z drugiej strony ten ogrom powietrza, ziemi i wody może rodzić, oprócz dumy, myśli o małości ludzkiego życia, znikomości jego zamierzeń wobec woli Rosji, udrapowanej w carskie szaty czy odzianej w uniform partyjnego wielkorzędcy.

Odgadywanie duszy narodu w krajobrazie? Czy to nie kolejna pułapka?

Postój. W oddali typowe, niepozorne zabudowania wioski, przy drodze zaorane pole. Mgliście, szaro, brunatnie. Smutek unosi się nad tym rozległym pejzażem. Przestrzeń może dawać poczucie swobody, ale też przygnębia i przytłacza.

Na parkingu stoi drewniana budka. W środku - wódeczki. Na zewnątrz niedomyty człowiek w brudnym i zniszczonym ubraniu, w czapce uszatce, serwuje szaszłyki.

Bogdan przywiózł dwa lata temu norweski magazyn mody. Przechowujemy go razem z innymi curiosami. Niedługo po dojściu Gorbaczowa do władzy zapanała moda na zosyjskość, a nawet radzieckość. Eksponowane w norweskim

czasopiśmie modele nie odbiegają od rzeczy prezentowanych w innych siódkich, przeszlizanych i wylizanych, zachodnich magazynach. Są to sportowe spodnie, fałdzone spodnie, grube swetry, skarpety, rękawice, płaszcz w zgaszonych kolorach o sportowym kroju. Połączono je jedynie z chustami wiązany na wzór rosyjski, spiczastymi czapkami z czerwoną gwiazdą. Najważniejszy był jednak sposób ekspozycji. Modele i modelki zastygły w pozach jurnych Waniek i wiejskich krasawic. Na jednym zdjęciu posadzono; ubranego w stylu sportowym chłopaka na brunatnym zaorany wzgórze. Na kolanach położono mu strzelbę. Na innej fotografii można zobaczyć obdrapany, pomalowany olejną farbą kiosk z rybami i pieczywem i grubą babą w brudnym, kiedyś białym fartuchu. W tle kolejnego obrazka pałające się chudzieńki dziadzio z taczką, w której leży... okrwawiona para kur /taczka, he, he na parę kuraków/.

Do czego jednak zmierzam. Otóż nasz szaszłykarz pasowałby jak ułaj do tych norweskich igraszek z radzieckim folklorem. Wyjeżdżając zauważamy stojące z boku, na ziemi dwie duże cysterny. Na przedzie mają drzwi. Czyżby - dom?

A swoją drogą ten Zachód ze swoim spleenem i tęsknotą za egzotyką... eh, dać im tu pomieszkać.

Co zatem składa się na europejskie wyobrażenie Rosji: przestrzeń, przestrzeń i jeszcze raz przestrzeń, smętny krajobraz, bezkresna ziemia i lecące żurawie. Dzicz i dzikość, jurność i melancholia, bieda i zniszczenie. Polski stereotyp Rosjanina posiada jeszcze takie cechy jak dobroduszość, spokój wobec przeciwności losu, skłonność do naiwnego filozofowania, azjatyckie okrucierstwo i upodobanie do działania podstępem. Wyobrażenie o odwiecznym sposobie sprawowania władzy w Rosji najlepiej oddaje zdanie z "Bajki ruskiej" Z. Herberta

*"Ciekawy lud zaglądał do pałacu przez okna,
ale Kriwonosow zasłonił okna szubienicami".*

Drugi postój. Idziemy w las. 20 m od szosy natykamy się na "coś" dziwnego. Podchodzimy bliżej. Okazuje się, że jest to bardzo prymitywny wychodek. Upleciona z chrustu półokrągła osłona sięgająca do ramion. W środku dziura, niegłęboka, z nieczystościami. Na ziemi położono zbite w kwadrat cztery deseczki. Mają zapewne zapobiegać unurzaniu się w błocie i łajnie. Wejście niczym nieosłonięte, zwrócone jest ku drodze. Jeżeli ktoś zatem wolałby nawet skorzystać z tej "toalety" niż z lasu, byłby bardzo dobrze widoczny z przejeżdżających samochodów. Jednocześnie jednak można nie spuszczać z oka swojego pojazdu i dobytku. Czyżby zatem tak daleko posunięta przezorność?

- Nie, proszę państwa. Cóż to za obyczaj! Toż to jednak Azja - oburza się przechodząca starsza pani, uczestniczka naszej wycieczki.

Ruszamy dalej. Tu nie czuć jeszcze wiosny. Łachy śniegu w lesie i na polach. Krajobraz - może mniej rozlewisk i karłowatych brzoźniaków, więcej starych drzew. Wsie mniejsze i jakby bardziej oddalone. Pola sprawiają wrażenie mało zagospodarowanych. Chyba dużo ugorów. Bagniste i zakrzaczony łąki. Nie znam się zresztą na rolnictwie. Od czasu do czasu rozorany spychaczem i koparką teren i dymiąca fabryczka. Obok, bliźniutko osiedle.

Pan Antoni bawi nas opowiadaniem dowcipów. Niestety spisane czy nawet powtórzone przez kogoś innego straciłyby połowę uroku, więc nawet nie próbuję notować. Pilot pokazuje i omawia ważniejsze miejsca na trasie.

Niedaleko przed Smoleńskiem - objazd. Przejeżdżamy przez jakieś miasteczko. Zakłady przemysłowe. Zniszczona hala fabryczna z 1957 roku. Nie ma żadnej całej szyby w oknach. Bloki - część to przypuszczalnie hotele.

Kiosk z napisem "Wino". Typowe, drewniane domki, kino, gdzie grają film "Ojcowie". Stary autobus, ciężarówka, szaro i biednie ubrani ludzie. Może później, latem wygląda to lepiej. Teraz bezlistne drzewa odsłaniają obrapane tynki. Na ulicach kałuże i błoto. Szarości, biele i czernie. Patrzą na dwie młode, zażywe dziewczyny. Ogarnia mnie smutek. Mój Boże, jak wygląda ich życie?... Ale jak wygląda życie bufetowej z Mławy? To już inna kategoria pytań.

Bardzo często mijamy po drodze różnego rodzaju rzeźby. Część z nich pomalowano srebrną farbą. Koło Brześcia widzieliśmy pomnik Żniwiarki, potem podobiznę sarny i dzika, tablice upamiętniające jakies historyczne zdarzenia.

Rzeźby te stoją blisko drogi, czasami w pobliżu wiosek, częściej na zupełnym odludziu. Nie wiadomo dla kogo je tutaj postaviono. Samochód jedzie zbyt szybko, aby z jego okien można było cokolwiek zauważyć. Pieszych czy rowerzystów prawie się nie widuje, zbyt duże odległości. Może są to zatem przydrożne socjalistyczne kapliczki, świadectwa nieudanych prób stworzenia nowych miejsc sakralnych? A może mają sprawić na obcokrajowcach wrażenie wysokiej kultury i dobrobytu?

Co pewien czas mijamy przeszklone budki. Są to posterunki milicji drogowej. Zadaniem funkcjonariuszy, pełniących służbę w tych budkach jest spisywanie numerów rejestracyjnych samochodów zagranicznych i przekazywanie dalej wiadomości o ich przejeździe. Dawniej był wliczony czas potrzebny na przebycie każdego odcinka. Jeżeli ktoś zrobił sobie zbyt długi postój, wtedy milicjanci przyjeżdżali i pytali, czy w czymś nie pomóc. Ale to są znane sprawy. Teraz wiele z tych budek jest opustoszałych, budowa niektórych została przerwana, oznaki pierestrojki.

Pola coraz bardziej zaniedbane. Pojawiają się też pasma specjalnie sadzonego wzdłuż dróg żywoplotu, który zasłania horyzont.

Zatrzymujemy się na stacji benzynowej. Trzeba zatankować. Obok nas stoi stara ciężarówka. Kierowca włożył koniec węża do baku i poszedł zapłacić. Chłopcy, którzy siedzą obok, zaczynają prześmiewki. Sekundują im dzielnie inni panowie. "Oj durak, durak", "przecież się przeleje" itd. w tym stylu. A mnie żal tego zapyziałego człowieczka, w brudnych, pomiętych spodniach i byle jakim sweterku. Nie dość, że los go skrzywdził i przeznaczone mu jest być nędzarzem i niewolnikiem wielkiego imperium, to jeszcze stał się obiektem nieuzupełnionych zasłużonych kpin.

Wreszcie dojeżdżamy do Smoleńska - godz. 21. Pani R., która opowiadała mi ostatnio o swoich losach w czasie wojny w ZSRR, mówiła, że w jej zesłanej wędrownie Smoleńsk był ostatnim miastem noszącym europejski charakter.

Smoleńsk jest zbudowany na melowniczych, porośniętych lasami wzgórzach. Na obrzeżach znajdują się zakłady przemysłowe, bocznicie kolejowe, nowoczesne osiedla. Centrum stanowi klasycystyczna zabudowa. Po drodze mijamy dwie małutkie cerkiewki z XII wieku. Na jednej znajduje się napis "Souvenir".

Mieszkamy w hotelu "Rosija". Czysto i porządnie, ale socjalistycznie tzn. kiepsko położona terakota w łazience i tandetne meble. Dają jednak dobrze jeść.

Pod drzwiami naszego pokoju stoją trzy młode dziewczyny - Rosjanki. Pytają, czy nie mam czegoś do sprzedania. Odpowiadam, że nie handluję. Są bardzo zdziwione i zawiedzione.

- Nu, kak? Wy przyjechali i niczego nie chatitje priedat'? - w głosie brzmi nieklamany żal i pretensja.

7 kwietnia 1989. Drugi dzień pielgrzymowania.

Budzi nas mocne pukanie i energiczny głos pana Wiesia. W pierwszym momencie nie wiem, gdzie jestem. Podchodzę do okna. Świeci wspaniale, nieco zimowe słońce. W dole nieznanym krajobraz. Jestem w ZSRR, coś za nieprawdopodobną sytuacją - myślę z radosnym zdumieniem.

Jedziemy do Katynia. Dostaliśmy dwóch radzieckich pilotów. Nasz /tj. ten który jedzie z nami w autokarze/ mówi bardzo słabo po polsku. Dojeżdżając do parkingu, znajdującego się naprzeciwko bramy, przez którą wchodzi się do Katynskiego Lasu, widzimy dużą tablicę informacyjną. Napis głosi, że tutaj znajdują się groby oficerów polskich pomordowanych przez hitlerowców w 1941 roku. Przewodnik mówi, że to stara tablica i że będzie wkrótce zmieniona.

Wchodzimy przez otwartą bramę. Przez las wiedzie wyasfaltowana ścieżka. Po obu stronach zbudowano wysokie ogrodzenie. Po prawej mijamy tablicę, upamiętniającą miejsce, w którym hitlerowcy rozstrzelali żołnierzy radzieckich. Nieco dalej znajdują się nasze groby. Cztery duże obmurowane kwadraty - symbolizują mogiły. Dwa małe z napisem w językach polskim i rosyjskim: "Ofiarom faszyzmu, polskim oficerom rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku". Nad wszystkim góruje smukły drewniany krzyż, na którym wyryto słowa: Tu zostanie wzniesiony krzyż upamiętniający śmiertć polskich oficerów. Jest to dar Kardynała Glempa.

Ks. Leon i ks. Zbigniew zdejmują kurtki i przywdziewają białe szaty. Jasiak i Jarek zakładają komże. Monika trzyma kawałek rozpostartej folii, na której leży Chleb Eucharystyczny. Obok stoi Agnieszka. W rękę ma kielich. Każdy, kto pragnie przyjąć Komunię, przekłada jeden komunikant do złotego naczynia.

Ks. Kantorski przypomina, że pierwsi chrześcijanie odprawiali msze w katakumbach. Istnieje zatem stara tradycja celebrowania Mszy św. na grobach.

W homilii ks. Leon mówi o tym, że ofiara życia polskich oficerów nie była daremna. Ta męczeńska śmierć stała się początkiem życia wielu wspaniałych idei, które żyją wśród nas dzisiaj. Ks. Leon jest przekonany, że wielu prowadzonych na śmierć żołnierzy przeczuwało, że ich męczeństwo nie będzie daremna.

Zastanawiam się nad tym. Co można czuć w momencie egzekucji? Jakie myśli płaczą się po głowie? Czy rzeczywiście przeczuwali...? Ogarania mnie potworny, zwierzęcy strach.

Po Mszy św. zapalamy znicze. Wiencze złożyliśmy już wcześniej. Jeden - od Podkowiec; drugi - od PSL. W Lesie Katynskim zostali zamordowani ojcowie trojga uczestników pielgrzymki. Dwoje spośród nich przygotowało małe tabliczki z imionami i nazwiskami, datą narodzin oraz przypuszczalną datą śmierci. Te tabliczki mają tu pozostać.

Po Mszy św. pan Józef Bocheński krótko opowiada historię tego miejsca. Mówi, że wzgórze katyńskie było miejscem kaźni nie tylko polskich oficerów. Opowiada o odkryciu tutaj zwłok 800 kobiet ubranych w waciaki. Przypuszczalnie były to zwłoki robotnic jednej ze smoleńskich fabryk.

Chodzę i oglądam wiencze leżące pod tablicą. Odczytuje napisy. Najbardziej wzruszają mnie słowa: "Pamiętamy Juleczku - Musieńka, Halusia, zięć i wnuk".

Każdy z nas bierze trochę ziemi ze Wzgórza Katynskiego. Potem ks. Kantorski prosi o modlitwę w intencji wszystkich odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Związujemy "Anioł Pański", albowiem niedawno minęło południe. Bierzemy dwa znicze i przenosimy z naszych mogił na symboliczny grób żołnierzy radzieckich.

Przeżyłam Mszę w lesie Katyńskim bardzo głęboką, a jednak nie potrafię nic sensownego opowiedzieć i napisać. Paraliżuje mnie strach przed banalem i egzaltacją.

Wzgórze Katyńskie, oprócz wydzielonego skrawka, gdzie znajdują się miejsca pamięci, nadal należy do KGB. Podobno w głębi lasu został zbudowany ośrodek wypoczynkowy.

Po południu jedziemy autokarami do cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Bożej. Borys, nasz radziecki przewodnik, który świetnie mówi po polsku, opowiada historię kościoła.

Cerkiew pomalowana jest na mocny, zielony kolor. Na ścianach widnieją zacieki, gdzie-niegdzie odpada tynk, ale z daleka kościół prezentuje się wspaniale. W przedsionku mijamy troje pokurczonych żebraków. Wchodzimy do wewnątrz. Bardzo ciekawy ikonostas, bogate złocenia. Zapalamy dwie cieniutkie świeczki i dajemy pieniążek żebraczce. Na schodach, przed wejściem natykamy się na młodą parę. Ona w białej sukni, on w garniturze. Okazuje się jednak, że przyjechali się tylko sfotografować na tle świątyni. Do środka wchodzi zaledwie na parę minut. Pytamy Borysa, coż to za nowy obyczaj. Odpowiada, że śluby kościelne są bardzo drogie.

Po południu zwiedzamy samodzielnie Smoleńsk tj. paętamy się bez celu. Smoleńsk miejscami jest ładny, czasami nawet bardzo. Męczą mnie co prawda olbrzyzie przestrzenie, duże odległości między sklepami. Zamiatowanie do ogromnych budowli, rozległych placów i jezdní jest charakterystyczne /dla mnie to zupełnie nowe doświadczenie/ nie tylko dla socrealistycznej architektury, także dla budownictwa carskiej Rosji. Po małej Podkowie czuję się tu nieco zagubiona.

Sklepy zaopatrzone są "tak sobie". Byliśmy bliscy kupienia dzieciennego rowerka. Zrezygnowaliśmy, kupimy w Wilnie.

Wchodzimy do sklepu spożywczego. Smród. Po chwili rozumiemy, co jest jego przyczyną. Widzimy bardzo obficie zaopatrzone w ryby stoisko. Niektóre z nich są zapewne nie pierwszej świeżości. Nie zauważyłam żółtego sera, leży jeden gatunek topionego. Margaryna pakowana jeszcze mniej starannie niż u nas. Półki wyglądają szaro. Nie ma ketchupów, majonezów, zdrowej żywności, tego wszytkiego, co w Polsce jest produkowane przez spółki polonijne i prywatne firmy.

Na ulicach dużo biednie ubranych ludzi, ale widuje się też wiele starannie umalowanych, zadbanych kobiet. Po szerokich jezdniach jeżdżą mało samochodów, więc nikt z pieszych nie przestrzega zasad ruchu drogowego. Ulice przechodzi się w poprzek, na skos, jak popadnie. Widzimy grupkę osób wsiadających do jakiegoś nieprawdopodobnego pojazdu, czegoś w stylu bardzo zniszczonego osinobusa.

Docieramy do cerkwi zamienionej na salę wystawową. Przed wejściem stoją rzeźby. Jedna z nich to akt kobiecy. Nie wiem - bezmyślność czy prowokacja? Wyobrażam sobie jak bardzo musiało to ranić uczucia wiernych, szczególnie osób starszych.

Wiosna tu jeszcze nie zawitała, wszystko jest szare i brudne, co być może powoduje, że kontrast między Polską a tą częścią Rosji wydaje się jeszcze większy.

Już sama zresztą nie wiem. Zagubiłam się zupełnie w tych ocenach i porównaniach.

Niewątpliwie jednak przenosiny ze wsi do miasta stanowią tutaj olbrzymi awans.

Po kolacji zwiedzamy nasz hotel. Przechodząc obok jednych z drzwi słyszymy polskie śpiewy. Jest już chyba 12 osób. Repertuar różnorodny, piosenki patriotyczne, harcerskie, zupełnie frywolne.

8 kwietnia 1989. Trzeci dzień pielgrzymowania

Jeszcze jest ciemno, kiedy wyruszamy do Wilna. Podjeżdżamy na parking przy Lesie Katyńskim. Kilka osób biega sprawdzic, czy nic się od wczoraj nie zmieniło. Wracają po około dwadzieścia minutach. Wiencę są, znicze sprzątnięto, przede wszystkim zniknęły jednak tabliczki.

Odjeżdżamy z parkingu. Powoli robi się widno. W drodze uczymy się tekstu "Pierwszej Brygady". Chcemy godnie przywitać ziemię Piłsudskiego. Śpiewamy także inne piosenki. Staszek wykonuje bawirowo "Czapajewa". Do mikrofonu podchodzą zupełnie spontanicznie różne osoby i bez skrupowania, niezawstyżone licznym audytorium i poziomem swoich umiejętności wykonują różne piosenki. Wtórujemy im, o ile oczywiście znamy tekst i melodię. P. Jacek opowiada krótko historię tych terenów.

Krajobraz za oknem się zmienia. Staje się bardziej wiosenny. Pola wydają się staranniej uprawione, obajscia schludniejsze, chociaż dosyć biedna. Od czasu do czasu mignie za oknami piegowy, murywany dom.

Wyjeżdżamy do Wilna. Obrzeża typowe dla socjalistycznego miasta tj. jeden, wielki, rozbarwany plac budowy. Potem troche nowoczesnej architektury - duza mieszkaniowe dzielnice. Całosc sprawia wrazenie bardziej interesujace od chociazby /moze to zdudzenia/ nowych warszawskich osiedli.

Mieszkamy w bardzo nowoczesnym, doskonale wyposazonym hotelu. Zaraz po obiedzie wyruszamy zwiedzac miasto. Rozgladamy sie za sklepami za sprzetem sportowym dla dzieci. Chcemy kupic rowerek dla Marysi. Niestety nic z tego. Idioci. Jak mozna bylo nie przewidziec, ze w tym olbrzymim kraju i przy tym stanie tzw. "srodkiw transportu", moga byc znaczne roznicze w zaopatrzeniu.

W domu towarowym podchodzimy do dwuch starszych kobiet. Przypuszczalnie sa to panie pracujace w magazynach. Bogdan pyta w oyczystej mowie, gdzie mozna dostac dziecienny rowerek. Jedna z kobiet wrbuje nam udzielic wskazowek. Mowi po polsku. Druga komentuje, uzupelnia jej wypowiedzi w jezyku rosyjskim. Pytania, skad przyjechalismy. Opowiadamy kroutko. Wreszcie i ta druga kobieta wplatajac wyrazy rosyjskie zaczyna rozmawiac z nami po polsku. Tlumaczy nam, ze musimy poudc prospektem Lenina. Jak zobaczymy takiego diabla - slowom towarzyszy gwałtowny gest podnoszenia rak - wtedy powinniśmy wsiadć do autobusu, który dowiezie nas do sklepu za sprzetem sportowym.

Idziemy zatem prospektem Lenina, o przepraszam, Leninasa. Leninas na cokole unosi w góre rozpostarte ręce. To właśnie "ten diabeł", o którym mówią nasza rozmówczynie. W tle, ogrodzony parkaniem z desek, znajduje się kościół św. Jakuba. Rezygnujemy zatem z jakichkolwiek poszukiwań czegokolwiek i wchodzimy przez otwartą bramę, aby z bliska obejrzed odnowioną świątynię. Nic nie wskazuje, aby prace zostały rozpoczete. Widac za to straszliwe zniszczenie. Na ścianach znajdują się tablice nagrobne, na których widnieją polskie nazwiska. Daty od konca XVIIII wieku po rok 1919.

Chodzimy bez planu po mieście. Czysto i bardzo zielono. Dochodzimy do rzeki, a potem wracamy i skręcamy w przypadkowy zaułek. Domy zbudowane przypuszczalnie w XX wieku. Odpadające tynki, brudne ściany i oszalniajaco duzo zieleni. Przed domami mieszkańcy pozakładali cudowne, miniaturowe ogródeczki. Z balkonu wisia, widocznie w ten sposób wietrzony, nieprawdopodobnie wydeptany, ciemny dywan. Okna są jednak czyste i ładne. Mnóstwo kwiatów doniczkowych. Na jednym parapecie widzę kwitnące grudnie. Wzysko razem sprawia wrazenie ubóstwa, ale jest to ubóstwo schludne i malownicze.

Na laweczce siedzi staruszka w chustce na głowie. Wzór i kolory chustki są mi dobrze znane. Taką samą nosiła babcia Bogdana, która pochodziła z kresów.

Podchodzimy i zagadujemy po polsku. Pytamy, czy tutaj mieszkają Polacy: - A różnie - odpowiada staruszka, po czym dodaje jeszcze parę konwencjonalnych zdań i zaczyna uskarżać się na Litwinów. - Litwiny to takie niedobre ludzie,

oj, jakie niedobre... - i opowiada historyjkę o swojej znajomej Litwinie, której zachorował synek /ojciec dziecka jest Rosjaninem/. Poszła zatem do lekarki - Litwinki - i poprosiła o zwolnienie z pracy. Ktoś musi przecież zaopiekować się dzieckiem. Lekarka zbadała chłopca i orzekła, że jest chory. Kiedy jednak okazało się, że dziecko nosi rosyjskie nazwisko, lekarka kategorycznie odmówiła. Zbeształa także znajomą naszej babuleńki za zdradę wobec narodu litewskiego. Wysłuchujemy jeszcze dwóch historii obrazujących szowinizm litewski. Pytamy, jak układały się stosunki z Litwinami przed wojną.

- A jak się miały układać - przed wojną tutaj Polska była! A gdyby Polaki stąd nie ustąpiły po wojnie, to i teraz by była - babcia patrzy na nas wyczekująco. My Kręcimy jednak z powątpiewaniem głowami.

Wracamy do hotelu. O siedemnastej jedziemy autokarami zwiedzać cmentarz na Rossie. Towarzyszy nam młoda pilotka. Na imię ma Mirosława i jest Polką. Idziemy pomodlić się nad grobem matki J. Piłsudskiego. Składamy wieniec. Przewodniczka odczytuje napis wyryty na płycie nagrobka i zaczyna opowiadać historię sprowadzenia prochów matki Marszałka z rodzinnego grobowca. Zaledwie wymienia nazwę miejscowości, gdzie była wcześniej pochowana matka J. Piłsudskiego, słyszymy słowa: "Pani kłamię! Wcale nie z..."

- Nie kłamię - odpowiada nasza przewodniczka i powołuje się na źródło, skąd czerpała informacje.

- W takim razie korzysta pani z niewłaściwych źródeł i jest pani niedoinformowana... - twierdzi starszy, nieznamy nikomu z nas pan i sam zaczyna opowiadać historię grobu.

Prosimy, aby się przedstawił. Nazywa się Sienkiewicz, jest historykiem i reprezentuje Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie.

Padają pytania, dotyczące stosunków polsko-litewskich w Wilnie i na Litwie. Pan się rozognia. Wymienia nazwiska ludzi tu mieszkających, litania krzywd, uraz... - dla mnie to wszystko bardzo zawiłe i za trudne do zapamiętania. Ks. Proboszcz pyta, jak można im pomóc? Odpowiedź - nie drażnić Litwinów przypomnianiem wspólnej, wielokolejowej historii, lecz uczynić Polskę silną i uzależnić gospodarczo Litwę od Polski.

Wreszcie Ks. Kantorski przerywa rozmowę. Modlimy się i zapalamy znicze. Podchodzimy do Mirki i pytamy, co sądzi o wystąpieniu pana Sienkiewicza. Jest przedstawicielką młodego pokolenia i mamy prawo przypuszczać, że myśli w nieco inny sposób niż ludzie starsi. Mirka odpowiada, że czuje się Polką. W domu zawsze mówiła po polsku. Nie obchodzi jej, że ktoś wypisuje, iż Polacy mieszkający w Wilnie to spolszczeni Litwini.

- A niech sobie piszą. Ja i tak pozostanę Polką - wrzusza ramionami. Żyje jednak na Litwie, codziennie obcuje z Litwinami i jest wobec nich pełna dobrej woli. Mówi: - Niektórzy Polacy myślą, że jak ktoś jest Litwinem, to nie ma prawa zwrócić im uwagi. A niby dlaczego Litwinowi nie wolno niczego krytycznego powiedzieć Polakowi?

Opowiada też o tym, jak Polacy się rusyfikują. Szkoły polskie są na niskim poziomie. To sprawia, że trudno dostać się na wyższe uczelnie. Rodzice posyłają dzieci zatem do szkół rosyjskich i aby dziecko dobrze znało język i nie miało w szkole trudności, rozmawiają z nim w domu po rosyjsku. Twierdzi również, że panowie ze Stowarzyszenia mogliby osiągnąć więcej, ale przeszkadza im ich agresywny stosunek do wszystkiego, co litewskie.

Zapewne jest to prawda. Czuje się zmęczona. Moja radość i zachwyt, które towarzyszyły mi w naszych dotychczasowych wędrowkach po Wilnie, znikły bez śladu.

Wchodzimy na cmentarz. Jest wspaniale położony na wzgórzach. Chodzimy wśród starych nagrobków i odczytujemy przeważnie polskie nazwiska. Bardzo wiele grobów jest w opłakanym stanie. Zniszczenie chociaż bardzo smuci, uzmysławiając bliską być może zagładę miejsca jednego z najważniejszych dla polskiej kultury,

dodaje także temu cmentarzowi olbrzymiego uroku. Jest czymś właściwym tutaj, gdzie powinno się myśleć o śmierci, przemijaniu.

Zieleni, nieprawdopodobnie dużo mocnej, wiosennej zieleni i zaskakująco czyste powietrze. Z przyjemnością oddycham tą świeżą wilgocią.

Wracamy. Po drodze spotykamy pana Sienkiewicza. Razem z kolegą próbują postawić zwałoną płytę nagrobka. Bogdan im pomaga.

Wieczorem idziemy na kolację pożegnalną. Jest przesunięta o jeden dzień ponieważ w niedzielę zaplanowano teatr.

Zmawiamy modlitwę przed jedzeniem i śpiewamy "Sto lat" księdzu Kantorskiemu. Ksiądz dziękuje wszystkim uczestnikom pielgrzymki, polskim i radzieckim pilotom oraz kierowcom - za wspaniałą postawę. Szczególnie ciepło i serdecznie mówi o Borysie, przewodniku z Inturistu, który towarzyszy nam do Smoleńska. Zachwycił nas swoją wiedzą o architekturze i historii cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej oraz znajomością religii katolickiej i prawosławnej. Postanowiono, że zaprosimy Borysa z żoną do Podkowy Leśnej.

Zasiadamy do stołu. Jemy, żartujemy, gadamy. Nasza kolacja odbywa się w sali, gdzie jest parkiet i można potańczyć. Pytamy ks. Proboszcza, czy wolno tańczyć. Pada odpowiedź: - Wolno.

Pan J. Bocheński poznał jakichś chłopców, Polaków, studentów Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Proszą o kontakty z NZS-em. Bogdan i Monika, studenci Instytutu Historii UW oraz parę innych osób idą z nimi porozmawiać. Zostaje sama, bez męża. Bawie się jednak świetnie.

Zachwycające na tej pielgrzymce jest to, że można porozmawiać z każdym, niezależnie od wieku, wykonywanego zawodu, zainteresowań. Płyną opowieści o różnorodnych doświadczeniach, przeżyciach. Dochodzi do zbliżenia między ludźmi wielu pokoleń, zderzenia się odmiennych sposobów myślenia.

Wracam do pokoju po dwunastej. Bogdana jaszczke nie ma.

10 kwietnia 1989. Czwarty dzień pielgrzymowania.

Rankiem jedziemy autokarami na Mszę św. do Kaplicy Ostrobramskiej. W drodze Bogdan opowiada mi o wczorajszym spotkaniu. Studenci, których poznał p. Bocheński, okazali się członkami Koła Studentów Polaków Uniwersytetu Wileńskiego im. Stefana Batorego. Ich organizacja liczy ok. 70 osób. Są wyraźnie antylitewscy. Dzisiaj tj. w dniu powtarzanych wyborów, "obstawiają" lokale wyborcze, czyli sprawdzają, czy Litwini nie fałszują wyników głosowania. Wczoraj opowiadali o organizacji "Jedność", w której zamieszkuje Wilno Polacy i Rosjanie zrzeszają się przeciwko Litwinom. Zdają sobie sprawę z bezsensu tego typu poczynań, ale nie potrafią działać w inny sposób. W wyborach popierają zatem kandydaturę Jana Ciechanowicza, Polaka, byłego pracownika KGB, człowieka, którego w Polsce określilibyśmy mianem twardego. Jego przeciwnik jest patriotą litewskim, zwolennikiem reform. Cóż jednak z tego. Nastroje antylitewskie wśród Polaków w Wilnie są bardzo silne. Jeden z czołowych przedstawicieli Koła Studentów na Uniwersytecie Wileńskim im. Stefana Batorego, zapowiadał np. wczoraj, iż pójdzie do lokalu wyborczego z nożem w kieszeni. Opowiadali także zdarzenie, obrazujące stosunki na Litwie. Otóż na Mszy polskiej, ksiądz w kazaniu powiedział, że Polacy nie powinni głosować na J. Ciechanowicza. Późniósł się szum, wśród zgromadzonych wierzących. Msza została przerwana. Ksiądz wyszedł i wrócił dopiero po upływie pół godziny. Po powrocie przeprosił swoich parafian.

Obiecaliśmy przysłać im polską prasę katolicką. Może to coś zmienić, w czymś pomoże?

Po wąskich schodkach wchodzimy do Kaplicy Ostrobramskiej. Małe, kwadratowe pomieszczenie. Jedną ścianę, na wprost Cudownego Obrazu, stanowią okna. Na ścianach wiszą srebrne wota. Jedno z nich zostało ufundowane przez marszałka Piłsudskiego - mała srebrna tabliczka, na której widnieje napis "Dziękuję Ci Boże, za

Wilno". Na pianinie z boku stoi wazon z bukietem bialo-czerwonych kwiatow. Jest ciasno i duszno. Oprócz nas na Msze św. przyszli mieszkańcy Wilna.

Ks. Leon wygłasza kazanie o pojednaniu i przebaczeniu, które może się dokonać dzięki ewangelizacji chrześcijańskiej miłości. Składamy przywiezione z Polski egzemplarze Pisma św. w języku litewskim, polskie katechizmy i modlitewniki, różańce, obrazki o tematyce religijnej. Słyszę, jak ktoś dopytuje się o Pismo św. w języku lotewskim. Niestety, nie ma. Stałam daleko od tłumy Wilnian. Bogdan mówi, że mieszkajacy tutaj Polacy dosyć chłodno przyjęli przywiezione przez nas litewskie Biblie.

Wychodząc, mijamy w wąskim korytarzyku przesuwające się na kolanach, postacia pielgrzymów. I tak już od wieków... Podobno Marszałek, kiedy zdarzało mu się przyjechać do Wilna, zawsze w ten sposób odbywał tę drogę.

Wchodzimy do Kościoła św. Teresy, który znajduje się obok Kaplicy Ostrobramskiej. Odbywa się adoracja Najświętszego Sakramentu. Przy ołtarzu kłęczą, ubrane w białe suknie, młode dziewczyny. W ławkach siedzą staruszki w chustkach i uroczyście, rozciągając poszczególne głoski pieśni, śpiewają godzinki. Mało widać w świątyni ludzi młodych i dzieci, ale też godzina jest wczesna.

Po śniadaniu zwiedzamy Wilno, przede wszystkim świątynie. Podjeżdżamy pod Kościół Piotra i Pawła. Przewodniczka opowiada jego historię. Niestety nie możemy wejść do środka - właśnie odbywa się Msza św. Jedziemy zatem na starówkę. Oglądamy z daleka Katedrę. Dłużej zatrzymujemy się obok małego, gotyckiego kościółka. Na trawniku, naprzeciwko, młody człowiek stoi przy sztalugach i maluje. Podchodzę i pytam czy mogę popatrzeć. Wyjaśnia mi, że to tylko szkic. Zaczynamy rozmawiać. Okazuje się, że mój nowy znajomy jest Białorusinem. W Wilnie mieszka od dwóch lat. Wcześniej mieszkał, gdzieś niezbyt daleko od Czarnobyla. Niestety, nie zapamiętałam nazwy miejscowości. Mówi bowiem szybko po rosyjsku i nie wszystko rozumiem. Po katastrofie w ich miejscowości spadł radioaktywny deszcz. Nikt niczego o Czarnobylu przez jakiś czas nie wiedział, władze nikogo nie przesiedlały... Wreszcie ludzie zaczęli chorować, w pewnym momencie nie mogli już chodzić. Opowiada o schorzeniach szpiku kostnego /nie wszystko rozumiem/, uaktywnianiu nowotworów. Nie potrafię mu przerwać, widzę, że to w nim żyje, że musi o tym opowiadać, że czekał na kogoś takiego jak ja, kto go wysłucha, przed kim będzie mógł dać świadectwo swojej prawdy. A reszta nie wiem, może ja mistyfikuję, wese i wyczuwam nastroje, które w rzeczywistości są obce moim rozmówcom... Wydaje mi się jednak, że wyraźnie czekał na okazję, mały punkcik zaczepienia w naszej rozmowie, który pozwoliłby mu wyrzucić do wszystko z siebie raz jeszcze.

Patrzy na mnie swoim błękitnym, stroskanym wzrokiem. Muszę się jednak z nim pożegnać. Nie widzę już nikogo spośród pielgrzymów.

Po obiedzie wyruszamy zwiedzać miasto bez przewodnika. Pragniemy obejrzeć wnętrza kościoła Piotra i Pawła. Trochę jednak pobłądziliśmy. Przechodząc obok jednego z licznych w Wilnie skwerów, widzimy jak chyba roczny, tłusciutki maleńtas próbuje swoich sił na stopniach małych schodków. Myślę o Marysi, uśmiecham się ciepło i mówię do Asi: "Spójrz jaki znakomity bobas". Starsza, otyła kobieta, przypuszczalnie babcia dziecka, podbiega do nas z okrzykami: "Kochane rodaki! Patrzę, myślę, Niemce nie Niemce idą. Przestraszyłam się. A wy z Polski! Takie szczęście, takie szczęście!!!" Wyjaśniamy jej skąd przyjechaliliśmy i kim jesteśmy, po czym następuje dalszy ciąg wylewności ze strony naszej nowej znajomej. - Jak was przyjąć?! Jak ugościć? Czekaście, ja zaraz polecę do domu. Kawę przyniosę, to wy w hotelu za moje zdrowie wypijecie... Mnie wstyd, ja dzisiaj szampana piła, u mnie w domu bałagan. Ale czekać! Nie odchodźcie! Minutoczku! Ja zaraz wrócę! - pobiegła nie zważając na nasze protesty i zapewnienia, że kawy nie potrzebujemy i w ogóle niczego nam nie brakuje. Po paru minutach widzimy, jak idzie pchając wózek z dzieckiem jedną ręką, w drugiej niesie torbę. Chce nam podarować paczkę kawy i dwie plecione, wietnamskie tace. Opowiada, że niczego więcej, czym mogłaby nas obdarować, w domu nie miała, więc chwyciła te tace, a

nich tak trudno o te rzeczy, i przyniosła. Mówi też, że jej córka, usłyszawszy, jakie szczęście ją spotkało /to szczęście - to niby my/ aż popłakała się z radości.

Próbujemy jej jeszcze raz wytłumaczyć, że to wszystko jest niepotrzebne. Bez rezultatu. W końcu, aby nie urazić jej stanowczą odmową, przyjmujemy prezenty. Prosimy także, aby wytłumaczyła nam jak dojść do kościoła Piotra i Pawła. Propozycja, że nas zaprowadzi. Po drodze rozmawiamy. Nasza znajoma opowiada o uroczystościach związanych ze zmianą barw flagi litewskiej.

- Ludzie! Co one wyprawiali! Cuda jakie! Płakali, obejmowali się, kłękali na ulicy... i tak dalej - płynnie sobie opowieść.

Nie mam siły prosić o umiar i obiektywizm. Nie mam odwagi po tym radosnym i może zbyt wylewnym nawet powitaniu, mówić o szacunku dla cudzych uczuć narodowych. Nie potrafię zwarzyć nastroju, okazać, że mój stosunek do tych spraw jest inny, że rozniżamy się w naszych ocenach. Ta kobieta tak bardzo jest pewna, że dzieliśmy jej poglądy. Tchórzeż zatem i milczę. Milczę także dlatego, ponieważ wiem, że jej sposób myślenia został ukształtowany przez lata narastających nieporozumień, wzajemnych pretensji, krzywd - wreszcie nienawiści.

Męczy mnie, nie tylko w czasie tej rozmowy, lecz cały czas odkad wjechałszy do Wilna niejasne poczucie winy. Wiem, że jest to niepotrzebne i nieuzasadnione poczucie winy, a jednak... Obawiam się także, że mój chłód i dystans z jakim oceniam stosunki narodowościowe na Litwie oraz umiarkowana wobec tych konfliktów postawa polskiej inteligencji w kraju, mogą być odebrane przez Polaków zamieszkujących Litwę jako zdrada, odwrócenie się Ojczyzny do nich plecami. Zbyt krótkie są tutaj moje spotkania z ludźmi, abym mogła cokolwiek komukolwiek wytłumaczyć, więc milczę. Zbyt wzięte są więzi z Polsnią w ZSRR, zbyt wąskie kontakty, aby można było przekonać Polaków mieszkających na Litwie, że postawa inteligencji w kraju nie oznacza zdrady. Czy jednak polska inteligencja może sobie pozwolić na milczenie?

Poczucie osamotnienia, ku czemu może popchnąć Polaków zamieszkujących Litwę? Jedyne w ramiona Rosji /przez Rosję rozumie Rosję radziecką/. Oni zresztą "dryfują" w tym właśnie kierunku.

- To co będzie? - pytamy.

- Jak to co? Bitka! - odpowiada kobieta.

Przyspieszamy zatem z Asią kroku i wyprzedzamy grupę. Z tyłu dobiegają nas jeszcze fragmenty rozmowy o "naszej" - jak się wyraziła kobieta - organizacji JEDINSTWO. Smutek, smutek, smutek wielki...

Wreszcie kościół Piotra i Pawła. Absolutny zachwyt. Barokowe kontrasty. Ciekawe obrazy. Z łoku stoi, ot tak, że każdy może go dotknąć, beben przywieziony przez kogoś z Paców spod Chocimia. Po lewej stronie ołtarza umieszczono hiszpańską rzeźbę Chrystusa. Bardzo dla nas egzotyczna - ma przyprawioną brodę z prawdziwych włosów i ubrana jest w usztyty i haftowane ręcznie stroje. Z zachwytem oglądamy także żyrandol kryształowy w kształcie żaglowca.

Wracamy na starówkę. Chcemy jeszcze obajrzeć Uniwersytet. Pan Bolek i mama Małcia są już zmęczeni. Postanawiają wrócić do hotelu. My zaplanowaliśmy, że zjemy cokolwiek na mieście, aby nie tracić czasu na dojazdy. Mamy zamiar odwiedzić Wilno "do oporu". Szukamy zatem restauracji, czy kawiarni, gdzie można by zjeść jakiś posiłek i napić się kawy. Wszędzie jednak jest pełno. Wreszcie trafiamy do kawiarni, gdzie są wolne miejsca. Schodzimy w dół po schodach do ładnej dużej piwnicy. Nad barkiem ryczy video. Trzeba do siebie krzyknąć, jeżeli chce się porozmawiać. Chłopcy stają w kolejce do baru, aby coś zamówić. My z Asią wchodzimy dalej. Przy stolikach siedzą młodzi ludzie, chyba Litwini ??, ubrani w skórzaną kurtki. Straszliwie hałasują, szurając stołkami. Po chwili zjawia się Bogdan. Mówi, że nie dostaniemy tutaj kawy ani niczego do jedzenia. Próbował dowiedzieć się od stojącego za nim chłopca, gdzie można napić się w Wilnie kawy. Ten jednak nie chciał rozmawiać po polsku, a po angielsku idzie mu niesporo. Może więc ja dogadam się po niemiecku. Idę i gadam, ale i ten język obcy młodzieńcowi. Wychodzimy. Trochę dalej trafiamy do "lokalu" gdzie są miejsca, kawa i ka-

napki. My z Asią siadamy, chłopcy zostają przy barku. Odwrotnie niż to jest tutaj w zwyczaju. W kolejkach raczej występują panie, one zamawiają, przynoszą i może fundują? Cóż, co kraj, to obyczaj.

Tak, kanapki i kawa co prawda w barku są, ale wolne miejsca nie powinny nas dziwić. Ten lokal, choć jasny i czysty, jest chyba czymś w rodzaju młodzieżowej spelunki. Przy stoliku obok siedzi wyizolowana, wpatrzona tępo przed siebie kobieta lat około trzydziestu. Przed nami "cywieje" - takie tylko określenie przychodzi mi do głowy - długowłosa młodzianiec w "skórze". W pewnym momencie chce się podnieść. Traci jednak równowagę i upada przewracając krzesło i sąsiedni stolik. Z głębi baru wylania się młoda dziewczyna ubrana w skórzaną kurtkę. Pomaga mu wstać, wyprowadza go. Wraca i ustawia wszystko na miejscu.

Wreszcie przychodzą chłopcy. Przynoszą jajecznicę, kanapki i kawę oraz dwa kremy /nieświeże, nie do zjedzenia/. Opowiadają co przydarzyło im się, gdy stali w kolejce. Bogdan, patrząc na omlet, który tutaj można było zamówić, powiedział do Maćka: - Popatrz, jedzą to z chlebem. Chłopak, stojący za Bogdanem w kolejce, skomentował jego słowa: - Tak, tak, nie zważajcie na nich, to dzicz - po czym dodał - Nie spieszcie się tak, to nie Ameryka. Po chwili zjawił się jednak i przyniósł Maćkowi talerz z jajecznica, która ten zamówił i na którą trzeba było dłużej poczekać.

Jestem już całkiem zagubiona. Nie wiem, czy w jego słowach brzmiała ironia czy też się z nami niby solidaryzował?

Przy stoliku przed nami siada większe towarzystwo. Jeden z chłopców stoi, ponieważ nie ma dla niego wolnego miejsca. Któraś z dziewcząt przynosi mu krzesło. Czy to obowiązujący zwyczaj, czy też zachowanie typowe dla tego specyficznego środowiska?

Chłopak siedzący najbliżej nas postanowił nawiązać z nami rozmowę. Nie chce jednak mówić po polsku, a Bogdan bardzo słabo zna rosyjski. Zaczynają zatem gawędzić po angielsku. Nie znam angielskiego, słabo rozumiem. Rzecz kręci się wokół Suwałk i kwestii mniejszości narodowych. Na moje pytania o treść rozmowy Asia odpowiada, że jest to dialog pijanego z trzeźwym prowadzony w obym dla obu język. Obok siadają inni młodzi ludzie. Ucisząją naszego dotychczasowego rozmówcę, szydząc, że chce się popisać znajomością angielskiego. Są, jak mówią, "tutejsi", z rodzin polsko-litewskich. Poczuwają się bardziej do swojej litewskości niż polskości. Twierdzą, że Polacy nie mają nigdzie w ZSRR tak dużej autonomii jak w Wilnie. Czemu więc jeszcze chcą? I po co przyjeżdżają z Polski i śpiewają tutaj "Jeszcze Polska nie zginęła..."? Cóż im można odpowiedzieć? Fakt, iż Polacy nę mają nigdzie w ZSRR tak dużej autonomii jak na Litwie, nie oznacza, że ta autonomia jest wystarczająca. Czy, że są przeczulenii wietrzac wszędzie prowokacje? I, że każdy może śpiewać swój hymn wszędzie i zawsze gdy mu przyjdzie na to ochota? Odpowiadamy zatem tylko, że nikt w kraju /może się mylimy?/ nie myśli poważnie o przyłączeniu Wilna do Polski, że zdajemy sobie sprawę, iż jest to w tej chwili miasto litewskie. Nie zmienia to jednak historycznej prawdy, że było to kiedyś miasto polskie i do dziś pozostało miejscem szczególnie dla polskiej kultury. Interesuje nas, tzn. Polaków z Polski, przede wszystkim to, aby zachować dla kultury polskiej i europejskiej jak najwięcej "starego Wilna". Chcemy też tutaj przyjeżdżać i chłonąć niepowtarzalną atmosferę tego szczególnego miasta.

Nasi rozmówcy proponują zmianę lokalu na porządniejszy. Wychodzimy na ulicę. Jednemu z nich udaje się dostać to, o czym marzył - trawkę. Zostajemy zatem z niskim, szczupłym chłopcem, podobnym do młodego Mozarta z filmu "Amadeusz". Mówi nam, że jest mu wstyd, ponieważ od trzech dni pije. Ma zatem kłopoty z mówieniem po polsku. Nie może zebrać myśli. Prosimy o pokazanie Uniwersytetu. Jest już około dwudziestej. Nasz nowy znajomy pracował jednak kiedyś w Bibliotece Uniwersyteckiej. Rozmawia zatem krótko po litewsku z woźnymi i dostajemy pek kluczy. Grube mury, niskie sklepienia, wąskie przejścia i półmrok - to

wszystko robi wrażenie. Wychodzimy na dziedziniec. W podcieniach zbyt duży, nieproporcjonalny pomnik K. Donelaitisa. Na ścianach znajdują się tabliczki upamiętniające działalność wybitnych Żydów związanych z Uniwersytetem. Lelewelus - to brmi prześmiesznie. Myślę jednak, że obdarzenia Litewskimi końcówkami wszystkich możliwych nazwisk: Leninas, Lelewelus, Mickiewiczzius..., wypływa nie tyle z chęci zamazania polskiego rodowodu Uniwersytetu i miasta, co raczej z pragnienia zaznaczenia i obwieszczenia wszem i wobec swojej narodowej odrębności. Taka gorliwość neofitów, trochę śmieszna, czasem drażniąca.

Litwini zacieraają oczywiście bardzo starannie ślady polskiej obecności na tych ziemiach. Odmawiają polskości Mickiewiczowi i nazywają go "spolszczonym Litwinem". Przedkują sobie swój narodowy rodowód, udowadniając, że trwali i tworzyli kulturę europejską dużo wcześniej niż narodziło się ich poczucie odrębności i dążenia niepodległościowe.

Tłumaczę Mantisowi /tak ma na imię nasz "przewodnik"/, że nie jest tak ważne, kim są rodzice artysty i gdzie się urodził. Mickiewiczą zdziwiliby w ogóle roztrząsanie kwestii jego narodowości. Cóż zatem z tego - mówię - że Polacy przyznają się do Conrada, skoro pisał po angielsku, tworzył dzieła przesiąknięte Anglią i angielskością i na pewno wpływał na świadomość społeczeństwa angielskiego w większym stopniu niż polskiego. Po pewnej chwili od wypowiedzenia tych słów czuję niesmak. Po co dajemy się wciągać w tę bezsensowną licytację, przecież artysta należy do świata. I chwala tym wszystkim, z pograniczy, łączącym w swoich dziełach różne i nieznanne sobie rzeczywistości. A swoja droga, po co to wszystko - budowanie swojej odrębności i swojej wartości na uczuciach negatywnych i krytycznym stosunku do innych narodów? Jakież to typowe dla patriotyzmów kształtujących się w sytuacji ciągłego zagrożenia. Europa, świat dąży do jedności budowanej na tolerancji, a tu czas jakby się zatrzymał. Trwają lata trzydzieste ?? z narastającą falą narodowych konfliktów. Ciekawe, jak długo jeszcze będą hulały rozmaite szowinizmy porządkach Wilna?

Z małego dziedzińca, na którym dominującą architektoniczną bryłą jest oryginalna klatka schodowa o klasycznych proporcjach, z wbudowanymi w dwie szerokie kolumny spiralnymi schodami, przechodzimy na dziedziniec większy. Pozbawiony zacieśniających, starych drzew jest dużo jaśniejszy. Wrażenie to podsyca jeszcze przykuwający warok, pełen elegancji kremowo-biały fronton barokowego kościoła. Stanowi on jeden z czworoboków dziedzińca, nad którym góruje zbudowana z prawej strony kościółka i jednorodna z nim w stylu dzwonnica. Jak się dowiadujemy jest to uniwersytecki kościół św. Jana, obecnie "Muzeum wiedzy i ateizmu"... Bez komentarza. Nie udaje się nam niestety zajrzeć do biblioteki. Któryś z profesorów tam w tej chwili pracuje. Opuszczamy zatem mury uniwersytetu. Prosimy Mantisę, aby zaprowadził nas jeszcze do Katedry. Szybko zapada zmierzch i gdy dochodzimy jest już prawie ciemno. Wewnątrz stajemy na chwilę osłepieni bielą ścian i ogromem tej jasnej przestrzeni. Jest bardzo dużo ludzi. Z boku, przy wejściu umieszczono sztandar litewski. Ksiądz wygłasza kazanie w języku litewskim. Mantis mówi, że niedobrze się stało, iż weszliśmy do świątyni. Pytamy, dlaczego? Okazuje się, że ksiądz miał kazanie, za które jutro może pojechać na Sybir - a my, wot, turyści, przyszli posmatrzeć. Dopytujemy się, jaka była treść kazania. Okazuje się, że ksiądz mówił o "Sajudisie". Prosimy o dokładniejsze informacje. Małe zamieszanie. Mantis usiłuje powiedzieć nam coś więcej o Sajudisie. Denerwuje się, jego ślaba polszczyzna stanowi barierę nie do pokonania. Wreszcie zmiechęcony i poirytowany prowadzi nas do siedziby Sajudisu, która znajduje się naprzeciw Katedry. Chce, abyśmy obejrżeli odbywający się właśnie wiec. Wchodzimy do budynku, Mantis znika w jednych drzwiach, potem w drugich. My stoimy na klatce schodowej. Misiu /Bogdan/ błądy i zdenerwowany. Widzę po jego naburmuszonej minie, że jest przeciwny całej imprezie. Wszyscy zresztą czujemy się trochę nieswojo. Atmosfera pewnej wrogości, którą zaczęliśmy odczuwać, w czasie "zweżdzenia" wileńskich kawiarń sprawia, że teraz mamy wrażenie, jakbyśmy weszli do jaskini lwa. Po chwili pojawia się rosy blondyn. Przedstawia się. Jest, jak to sam określa, głównym ideologiem Sajudisu. Zawód - ideolog. Brzmi to dosyć socjalistycznie. Wreszcie wraca Mantis. Prowadzi nas do jakiegos pokoju. Proszą o podanie naszych imion, nazwisk, zawodów. Rozmowa toczy się po angielsku. Straszny

gwar, ruch, niepokój, wciąż ktoś wchodzi i wychodzi. Załatwia się wiele spraw w pośpiechu. Przychodzi do nas jeden z "wodzów" Sajudisu /ach, te Litewskie nazwiska nie do zapamiętania, a notować głupio/. Prowadzi nas do zacisznego gabinetu. Mówi po polsku. Pochodzi bowiem z okręgu, w którym mieszka około 80% Polaków. Opowiada o braku zaufania i niechęci Polaków do Litwinów, o "Jedinstwie" i o tym, że Polacy się rusyfikują.

Odpowiadamy, że Litwini są w pewnej mierze za to odpowiedzialni. Słyszeliśmy tutaj na przykład, że Litwini blokują dostęp do szkół polskim dzieciom. - Każdy kij ma dwa końce - słyszymy w odpowiedzi. - Po wojnie wyjechała do Polski prawie cała polska inteligencja, a tych, którzy nie opuścili Litwy wywodzi na Sybir Stalin. Pozostali tutaj proszą "czorną" /takie określenie pada w rozmowie/ ludźmi. Polskie dzieci nie dostają się do szkół ponadpodstawowych, ponieważ są słabo przygotowane do egzaminów. Ale Litwini - Sajudis - chcą to zmienić. Wystąpili z propozycją, aby 400 osób wyjechało do Polski na wyższe uczelnie. Mają to być polskie dzieci. Po zakończeniu edukacji ludzie ci powinni wrócić do Wilna i tutaj pracować. Polacy jednak mimo wszystko nie mają zaufania do Sajudisu. Ta wrogość zdaniem naszego rozmówcy może być przełamana jedynie dzięki pomocy Polaków z Polski. Pytamy, czy ktoś z Sajudisu nie mógłby przyjechać z wizytą do Podkowie Leśnej. Oczekiwanie rozmawiającego z nami Litwina są jednak dużo większe. Pragnąłby, aby ktoś od nich przyjechał na zaproszenie polskiej opozycji i wygłosił cykl wykładów. Tego jednak nie możemy im obiecać. Prosi więc, abyśmy w swoich środowiskach przekonali ludzi i im pomogli. Jesteśmy skłonni więcej wymagać od Litwinów. Są liczniejsi, u siebie, mają inteligencję. Gest pojednania ze strony Polaków mógłby zostać odczytany jako przejaw słabości. Wybaczenie i nadstawianie drugiego policzka pod ciosy pięścią może i jest obowiązkiem chrześcijanina... ale nie wroży długiego życia ofierze. Wymaga także dojrzałości i dyscypliny, którą mogłaby narzucić społeczności polskiej jedynie silna, wyjątkowa osobowość.

Myślę, że od postawy i działań Litwinów zależą w dużej mierze stosunki polsko-litewskie. To oni są liczniejsi, mają silną inteligencję, są u siebie. Sądzę, zapewne jest to naiwny, kobiecy sąd, że wystarczyłoby parę, niewiele w gruncie rzeczy zmieniających posunięć, aby zmniejszyć niechęć tutejszych Polaków do Litwinów i tego co litewskie. Umieszczenie w Wilnie oprócz litewskich i rosyjskich także polskich nazw ulic, ogłoszenie ogólnej zbiórki na ratowanie zabytkowego cmentarza polskiego na Rossie, jedna msza polska w katedrze - te małe zmiany może stworzyłyby korzystną atmosferę, punkt od którego można zacząć kopywać przepaść nienawiści między Polakami i Litwinami. Czy jednak Litwinom zależy na dobrych stosunkach z Polakami mieszkającymi na Litwie? Czy ludzie tworzący czołwkę Sajudisu rzeczywiście pragną pojednania i gotowi są zaryzykować nawet utratę poparcia części społeczeństwa, tej najbardziej szowinistycznej, najbardziej antypolsko nastawionej?

Być może te wszystkie pytania są błędnie postawione. Nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć.

Bogdan wyniósł silne przekonanie z całej rozmowy z przywódcą Sajudisu, że bardziej zależy im na kontaktach z polską opozycją niż na załagodzeniu konfliktu z Polakami mieszkającymi w Wilnie. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to można wykorzystać tę sytuację dla dobra Polaków na Litwie.

Niezależnie od wszystkich kalkulacji żywiec dużo sympatii dla walczącego o swoją niezależność narodu litewskiego.

* * *

W naszej rozmowie z przedstawicielem Sajudisu padło następujące zdanie "Przez wiele lat miejscowa ludność miała dwóch bogów: wódkę i Boga w kościele." Joanna zapytała, czy nie można tego faktu wykorzystać. Z wódką, jak się wyraziła, nie pogadasz, ale Bóg w kościele to prawdziwa, realna siła. Joanna myślała o porozumieniu z duchowieństwem polskim i litewskim. Oddziaływanie kościoła mogłoby zmniejszyć napięcia między Litwinami i Polakami. Nasz rozmówca odpowiedział, że on sam jest niewierzący, nie steista, lecz taki "sentymentalny poganin". Jemu po-

doba się, że drzewa rosną, kwiaty kwitną itd. No, on i ludzie należący do Sajudisu uważają, że człowiek powinien w coś wierzyć. Wiara daje nadzieję, a nadzieja jest człowiekowi potrzebna. Ale do Kościoła oni się nie wtrącają. Kościół sobie, oni sobie. Nie wiem, nie zrozumiał, że chodzi nie o "wtrącanie się" lecz o współdziałanie? Brak wyobraźni i umiejętności politycznego myślenia? Może nie cenił siły i autorytetu Kościoła polskiego i litewskiego? A może "chytro Litwin" zbył nas nie chcąc o tym mówić? Sądząc z treści kazania nieudolnie tłumaczonego nam przez Mantisa, Litewski ksiądz popierał Sajudis i dążenia niepodległościowe Litwinów. Skądinąd wiemy, że w katedrze nie zezwala się na odprawianie mszy w języku polskim.

Opozycja litewska? Wypracować sobie o niej zdanie na podstawie rozmowy z jednym człowiekiem? - to dosyć ryzykowne.

Po wyjściu z siedziby Sajudisu spytałam Mantisa, co myśli o tym wszystkim? - Takich ludzi jak ten, jest paru, ot garstka - odparł. - A Litwini, jaki jest ich stosunek do tej organizacji? - Wszyscy Litwini są za Sajudisem, ale jak wyjadą tanki, to oni pouciekają. Dalej wolałam nie pytać. Bogdan miał wściekłą minę i za plecami Mantisa zakreślił kółko na czole. Już w drodze do hotelu zostałam zbesztana za zadawanie głupich i nietaktownych pytań i otrzymałam kategorię zakaz zadawania kolejnych.

Zaprosiliśmy naszego przewodnika do hotelowej restauracji na kolację. Okazało się, że ma 28 lat, drugą żonę i z każdą ze swoich żon po jednym dziecku. Dopytaliśmy się z Joasią czy mu nie szkoda, że żona spędza czas samotnie w domu? Wzruszył ramionami. Pokreślony jakiś człowiek, ale bardzo sympatyczny.

Rankiem odjazd do Kowna. W grupie małe zamieszanie. Wszyscy komentują dziwne wydarzenia ostatniej nocy. Okazało się, że jakiś ciemny, duży i muskularny drab grasował w hotelu. Wszedł między innymi do pokoju pań z naszej pielgrzymki i w ich obecności szperał w walizkach. Podobno jakaś wyspecjalizowana szajka okrada gości hotelowych. Mają podrobione klucze. Ot, koloryt lokalny.

Jestem tak nafałdowana wrażeniami, że nawet nie oglądam pejzażu za oknem. Zerkam tylko od czasu do czasu. Na tle wsi widzianych do tej pory w ZSRR, te które teraz mijamy wyglądają bardzo zasobnie.

Kowno, mamy niewiele czasu. Oprowadza nas przewodniczka Litwinka. Pokazuje nam stary zamek z resztkami muru obronnego i śliczny, zadbane ryneczek. Opowiadając o osobliwościach Kowna, przerywa; aby zwrócić naszą uwagę na dwa gołąbki, które usiadły na dachu jednej z kamieniczek: "tak ślicznie wyglądają". Ujęła mnie tym zupełnie. Widać, że jest bardzo zakochana w swoim ładniutkim mieście. Podobno w Kownie istnieje ponad 20 muzeów. Między innymi jest muzeum imienia A. Mickiewicza, które prowadzi jedna z tutejszych nauczycielek.

- Polka? - pada pytanie z tłumem.

- Nie, Litwinka - odpowiada, uśmiechając się, pani przewodnik.

Oprowadza nas po kościele Piotra i Pawła. Ach, ten Barok, coraz bardziej mi się podoba, chyba w końcu się zakocham. Barokowy obraz niemieckiego malarza "Wniebowstąpienie Matki Bożej" - na pierwszym planie unosi się duża, większa od wszystkich pozostałych, postać Madonny z podwójnym podbródkiem. W dole jakies cztery malutkie postacie trzymają za rogi rozpostartą płachtę materiału. Nie, to naprawdę urocze! Oprócz tego zadziwiająca w tym wnętrzu są obrazy pedzła dziewiętnastowiecznego malarza Andriollego.

Od naszej przewodniczki dowiadujemy się jaki był wynik wyborów. Sajudis otrzymał pięć z ośmiu mandatów, ale wygrał nie Litwin Cepaitis lecz Jan Ciechanowicz. Nie wiem, zdaje się jest to zwycięstwo które nic nie przyniesie Polakom oprócz niechęci Litwinów, a przypuszczalnie zaszkodzi wszystkim mieszkańcom Litwy.

- Ja nie wiem, czy on /J. Ciechanowicz/ był w KGB czy nie - odpowiada na zadawane przez nas pytania przewodniczka - wiem tylko, że Jan czy jak się wcześniej nazywał Iwan Ciechanowicz, robi bardzo wiele złego na Litwie, że chce skłócić Polaków i Litwinów.

Zegnamy się z naszą przewodniczką. Rozczula się i wyznaje nam, że byliśmy w jej karierze wyjątkową grupą. Gdyby mogła, oprowadzałaby nas dłużej. Po obiedzie mamy czas wolny. Biegamy po Kownie. Zaglądamy do czegoś w stylu naszego Międzynarodowego Klubu Książki i Prasy. Na półkach leży wiele egzemplarzy I i II tomu opowiadań J. Iwaszkiewicza, "Wspólny pokój" Z. Uniłowskiego, opasłe tomy Marksa i Engelsa w języku polskim. Zdziwienie: jest też elementarz Falskiego. W pierwszym odruchu chcemy kupić trzy egzemplarze dla Marysi i znajomych dzieci. Po chwili jednak wycofujemy się zawstyżeni z tego pomysłu. Elementarze powinny pozostać tutaj,

Księgarnie, do których wступujemy, są bardzo słabo zaopatrzone i przede wszystkim literatura pisarzy radzieckich. W sklepie papieżniczym, w którym wypatrzyliśmy duże pudło plasteliny, wysłuchujemy płynących przez radio wiadomości polskich. Podobno wszyscy mieszkańcy Kowna słuchają Polskiego Radia i oglądają Polską Telewizję. W pasażu sklepów widzimy chleb sprzedawany wprost z ciężarówką. Ustawił się już spory ogonek. W warzywniaku jest długa kolejka po... ziemniaki. Za to w spożywczym kupiliśmy pyszną śmietaną.

Ok. 17⁰⁰ odjazd. W autokarze panuje raczej frywolny nastrój. Co chwila wybuchamy wszyscy śmiechem. Pielgrzymka to nie tylko cierpienia, religijne uniesienie, duchowe przeżycia. To także radość, zdrowy śmiech i ludzka życzliwość, wszystko to czego jednak brak w powszednich praktykach religijnych. Tak, wiem, wiem... "przekażcie sobie znak pokoju". To jednak tylko symboliczny gest, jakże często wykonywany ze zdawkowym skinieniem głowy.

Dojeżdżamy do granicy. Niedawno otwarte przejście w Ogrodnikach. Przed nami stoi parę samochodów. Ustawiamy się w kolejce. Na boisku, opodal drogi młodzi żołnierze grają w siatkówkę. Chłopcy z ks. Zbyszkiem przeskakują ogrodzenie otaczające boisko, pytają, czy mogliby zagrać. Żołnierze zgadzają się. Wszyscy wysiadamy z autokarów. Kibicujemy. Henio robi zza naszych pleców zdjęcie tego epokowego spotkania. Wydaje mi się, że kibicujący Rosjanie widzą jego podchody z aparatem. Nie reagują, chociaż przejście graniczne to obiekt wojskowy.

Po pewnym czasie wydaje się, że coś się ruszyło. Gra zostaje przerwana. Wszyscy zajmują swoje miejsca w autokarach. Fałszywy alarm. W tym czasie udaje się złapać zachodnią radiostację. Zapada cisza. Słucham w skupieniu wiadomości z Polski. Nie było nas zaledwie pięć dni. Czuję jednak, jakbym wracała z bardzo, bardzo długiej podróży. Egzotyca, mimo socjalistycznego piętna, rzeczywistość i mnóstwo wrażeń, sprawiły, że nasze codzienne problemy stały się odległe i jakby obojętne. To samopoczucie wynika w dużym stopniu z głębokiego, osobistego przeżycia problemów, z którymi zetknęliśmy się w Wilnie. Wilno to wspaniałe miasto, ale... czuję się trochę "unurzana" w błocie konfliktów polsko-litewskich... mimo olbrzymiej sympatii dla obydwu stron.

Po pewnym czasie przychodzi radziecki żołnierz. Wiadomo, że oczekiwanie się przedłuży. Zapraszają zatem naszych panów do dalszej gry. Chłopcy wracają na boisko i mecz kończy się dopiero, gdy jest ciemno i nie widać już piłki.

Wreszcie przychodzi na nas kolej. Jeszcze na chwilę przed kontrolą paszportową i celną udaje się nam wysłuchać felietonu p. Jacka Maziarskiego, który siedzi wśród nas. Przed paru laty byłaby to sytuacja nie do pomyślenia.

Wydaje się, że cel naszej pielgrzymki został osiągnięty. Byliśmy "oczami pokoju bożego". Wielu z nas, jest to wyraźnie widoczne, zmieniło swój stosunek do Rosjan i Litwinów. Przekonaliśmy się, że mieszkańcy Sowieckiego Imperium są takimi samymi ludźmi jak my. Często zasługują na nasz szacunek i sympatię, czasami na wyrozumiałość.

Moja indywidualną zdobyczą było ostateczne rozstanie się z jednak przemyconym przez granicę stereotypem Rosji. Teraz już wiem, co zresztą powinno być oczywiste dla każdego zdrowo myślącego człowieka, że Rosja Radziecka to kraj olbrzymich różnic poziomów i sposobów życia i myślenia. /Czym innym jest jednak przeczuwanie pewnego faktu, czym innym wiedza płynąca z doświadczenia/. Mówienie, że wszyscy ludzie w ZSRR żyją w nędzy /a jest jej tutaj rzeczywiście dużo/ albo, że wszyscy myślą w pewien charakterystyczny dla obywateli Kraju Rad sposób, niczemu

nie służy. Poprawia jedynie nienajlepsze polskie samopoczucie, samopoczucie kogoś kto próbuje przepchnąć się w ten sposób /bez większego efektu/ do stołu, przy którym trwa europejska uczta życia. Ogląda się zatem z pewną satysfakcją do tyłu. Jest ktoś, od którego czuje się lepszy, zamożniejszy, bardziej cywilizowany. To dosyć jednak prymitywny sposób "krzepienia serc".

Około czwartej dojeżdżamy do Podkowy. Krótka modlitwa na dziedzińcu kościoła i już idziemy pośród wonnych ciemności do domu. Nigdzie jednak powietrze nie jest takie jak tutaj. Długo nie mogę zasnąć. Wreszcie zapadam /to bardzo właściwe słowo/ w głęboki, nerwowy sen. Śni mi się, że jedziemy autokarem. Przez okno widzimy jak dwaj sanitariusze w białych fartuchach wiozą na wózku inwalidzkim wędzyczkę, ubranego w nietówno zapięty, wyświechtany szary szynel. Wiem, nie wiem skąd, ale wiem na pewno, że ten człowiek ma połamane oboje nogi. Sanitariusze pędzą z nim wprost na wysoki krzeźnik drogi. Śmieją się przy tym od ucha do ucha czerwonymi gębami. Chcą najwyraźniej wywalić chorego na trawnik. Ten podrywa się w ostatnim momencie. Chwile, mgnienie, stoi po czym przewraca się z grymasem bólu. Wszyscy w autokarze wybuchają radosnym śmiechem. Tylko ja żkam rozpaczliwie, najpierw szczerze, potem coraz bardziej mechanicznie, jakby nawykowo.

Szare, brudne kolory, atmosfera jak z powieści Dostojewskiego. Budzę się mokra od potu i przerażona. Oddycham z ulgą. Jestem w domu.

Najbardziej wstrząsające w tym śnie było przerzadzanie się mojego płaczu w "automatyczne" żkanie, przekształcanie się szczerego współczucia w pozę.

BEATA WRÓBLEWSKA

/praca wyróżniona I nagrodą/

KOMUNIKAT

Jury konkursu literacko-publicystycznego i fotograficznego, rozpisane go wśród uczestników Pielgrzymki Katyń - Wilno po zapoznaniu się z siedemastoma nadesłanymi pracami postanowiło:

- przyznać Nagrodę Specjalną panu Józefowi Bocheńskiemu, autorowi pracy "Danym mi było być w Katyniu". Podejmując tę decyzję Jury było świadome, że zadanie p. Józefa Bocheńskiego, będącego synem zamordowanego w Katyniu oficera, było znacznie trudniejsze od zadania wszystkich pozostałych uczestników konkursu. Pan Józef Bocheński musiał przełać na papier sprawy głęboko osobiste, stanowiące Jego własną życiową tragedię. Jednocześnie Jury uważa za swój obowiązek wyrazić panu Bocheńskiemu szczególne podziękowanie za dzielenie się swą rozległą wiedzą o tragedii katyńskiej ze wszystkimi uczestnikami naszej Pielgrzymki. Bez Jego informacji pozostałe prace byłyby zapewne uboższe.

- Jury przyznało ponadto I nagrodę pracy pani Beaty Wróblewskiej, zatytułowanej "Dziennik". Wyróżniając tę właśnie pracę pragniemy zwrócić uwagę na jej dojrzałość intelektualną, bystrość obserwacji oraz wrażliwość moralną. Walory literackie pracy pani Beaty Wróblewskiej sprawiają, że zasługuje ona w pełni na skierowanie do druku.

- Wobec ogromnego zróżnicowania pozostałych prac, reprezentujących całkowicie różne formy pisarskie, a także odmienne techniki, jak np. fotografie i rysunki, Jury nie jest w stanie dokonać podziału dalszych nagród. Uważamy, że nie da się znaleźć jednolitych kryteriów, które pozwoliłyby sprawiedliwie ocenić wartość dzieł tak różnych jak fotoreportaż, opowiadanie, esej wspomnieniowy, reportaż prasowy i tym podobne.

W tej sytuacji zdecydowano nie przyznawać dalszych nagród i wyrazić jedynie uznanie dla szczególnych wartości prac licznych autorów - zwłaszcza Anny Kalinowskiej, Mieczysława Klajnowskiego i Janusza Binkowskiego, Zofii Broniek, Krystyny Majewskiej, Barbary Maros, Stanisława Matejczuka, Janusza Tofila oraz autora pracy oznaczonej godłem "Omega" pod tytułem "Wspomnienia z pielgrzymki do Katynia i Ostrej Bramy".

- Jury wyraża podziękowanie autorom wszystkich pozostałych prac i uważa, że każda z nich zasługuje na symboliczne wyróżnienie. Jury jest zdania, że zgromadzony w wyniku konkursu materiał powinien zostać wydany w formie książkowej w postaci obszernych fragmentów. Jest rzeczą konieczną, by plon tej Pielgrzymki dotarł do świadomości szerokich kręgów społeczeństwa.

Maria Maros

Wiesław Matejczuk

Anna Żukowska-Maziarska

Jacek Maziarski - przewodniczący Jury.

**Dochód ze sprzedaży tej książki
przeznaczony jest na budowę
pomnika katyńskiego**

w

Podkowie Leśnej



Niezależna

Agencja Wydawnicza

„Solidarności Walczącej”

Przygotowanie do druku : druk: